Nr. 14. Warszawa, dnia 27 Marca (8 Kwietnia) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Numery **Prawdy** *z I-go kwartału są wyczerpane.*

Nowi abonenci tegoroczni mogą nabyć pierwszy tom dzieła, wychodzącego jako dodatek do **Prawdy**:

Syberya i ciężkie roboty.

Maksimowa, za rb. 1 k. 20.

POLITYKA.

POROZUMIENIE.

Wunsch der Vater des Gedankes" — z żądzy rodzą się myśli, i nietylko myśli, ale całe obrazy umysłowe, iskrzące się najwspanialszemi barwami. Anglia, która na gruncie spraw chińskich, a raczej już chińsko-europejskich, wyciąga rękę i podchodzi, podsuwa się coraz śmielej jako przyjaciółka ku Rosyi, radaby jedną garścią pochwycić błogosławieństwa porozumienia się z mocarstwem, którego przeważająca wola w tym pierwszym, rozpoczynającym się teraz okresie współdziałania cywilizacyjnego Europy z Chinami, na los Państwa Niebieskiego wywrze wpływ największy. Minęły już bezpowrotnie tak niedawno jeszcze czasy, kiedy dyplomacya i polityka angielska w Pekinie miały prawie monopol głosu i trudu. Od zimy 1894—5 r. świat całkiem nowy otworzył się przed myślą polityczną. Wszystkie dawne stosunki i dopełniające je zamiary albo zupełnie wywrócone, albo strącone na podrzędny stopień znaczenia istotnego w życiu. Mocarstwo i geograficznie i potęgowo najpomyślniej położone pracuje nad nowym układem stosunków, najkorzystniejszym dla samego siebie; rola Anglii sprowadza się do zapewnienia sobie w tym układzie stanowiska jak najmniej niekorzystnego. Stąd wyciąganie ręki, owa przyjacielska peregrynacya do Rosyi żądzą i myślą.

Dopóki Anglia miała monopol dyplomatyczno-polityczny w Chinach, dopóty dogmatem jej była niepodległość, całość, niepodzielność osłanianego od innych mocarstwa. Teraz, gdy środek ciężkości przyszłych postanowień i stosunków przeniósł się do Rosyi, gdy wskutek odparcia Japonii od Chin, siła i wola tego mocarstwa stanęły w zupełnej, wszystkie inne wyłączającej, niezależności wobec wielkiego chińskiego gruchotu, dziś dogmat angielski niepodzielności zmienia się w dogmat podziału Chin przez samą opiekunkę przy współdziałaniu z Rosyą, której, oczywiście, zostawiłoby się rolę główną, wiedząc, iż nie przyjęłaby podrzędnej. Czy jest co prawdy w doniesieniach dzienników angielskich o rzeczywistych już propozycyach, o rzeczywiście już zawiązanych układach — nie wiemy, ale to, o czem wątpić nie można, wystarcza do pokazania apetytu angielskiego w całej okazałości: niezgłębiony, bezdenny jest żołądek tej *Greater Britain* — o wiele głębszy od jej rozumu, stałości zasad i jakiegokolwiek, choćby najsłabszego ale idealnego rzutu oka na świat. Zmieniają się przekonania w miarę apetytu, zmienia się apetyt w miarę okoliczności: treścią życia grabież: głupi, kto nie bierze, jeśli ani słabym ani chorym nie jest: oto jedyny dogmat dzisiejszej Anglii.

A tym dogmatem wojuje nietylko rząd sam, ale opinia publiczna, prasa, sumienie narodu. Gdyby z całej pisaniny dziennikarskiej nic więcej nie zostało dla rzeczywistości i prawdy prócz dziennikarskich pragnień, żądz i apetytów — pisanina sama byłaby jeszcze faktem znamiennym dla dzisiejszej Anglii. Nie zajmowałby się nią polityk, ale zająć by się musiał myśliciel-etyk, moralista. Może jednak jest cokolwiek prawdy i polityka obchodzącej w tem, co publicystyka angielska w ostatnich dniach na bibule gazeciarskiej zbudowała. Przedstawienie rzeczy w *Morning Poście*, powtórzenie polemiczne przez *Nowoje Wremia* pozwalają widzieć w planach angielskich coś więcej prócz oskomy głodnych umysłów. Dziennik zachowawczy, mający czucie z margr. Salisburym, pisze, że ambasador angielski w Petersburgu uczynił propozycyę podziału Chin pod postacią rozsądnego uporządkowania kwestyi chińskiej. Gdyby tylko Rosya porozumiała się z Anglią, porozumienie się ich z innemi mocarstwami byłoby łatwe. Dodać jeszcze Niemcy, Francyę i Włochy, złożyć kongres — i kwestya chińska byłaby rozsądnie uporządkowaną.

Na taką propozycyę angielską hr. Murawjow miał odpowiedzieć, że kongres raczej pogorszyłby, niż polepszył stan rzeczy na dalekim Wschodzie. Nie wystarczyłoby dopuszczenie trzech powyższych mocarstw: wypadałoby przybrać jeszcze Austryę, Japonię, Stany Zjedn., a dwa te ostatnie mocarstwa, raz dopuszczone do współdziałania dyplomatycznego z Europą, zyskałyby możność wmieszania się do spraw europejskich. Z tych pobudek hr. Murawjew miał zasadniczo odrzucić projekt angielski. Tyle *Morning Post*. *Nowoje Wremia* wątpi o prawdziwości doniesień londyńskich, twierdzi, że ani sama Rosya nie myśli o podobnej jak podział Chin kombinacyi, ani też żadne inne mocarstwo nie da się skusić do wyręczenia jej w poddaniu się pomysłom angielskim, i wreszcie zapowiada, że Rosya na podjęcie tych pomysłów wbrew interesom swoim nigdy nie pozwoli. Czy stąd wnosić, że istotnie nic nie było, i że w kierunku wytykanym dziś przez Anglię polityka wielkiego mocarstwa przodującego nigdy nie

pójdzie? *Daily Graphic*, przecząc, żeby mówiono o podziale, przyznaje, że rokowano o rozgraniczenie sfer interesów. Właśnie tylko ta afrykańska forma mogłaby na początek znaleźć zastosowanie w układach dyplomatycznych: treść pozostałaby jednakową, taką, jaką ma dzierżawa niemiecka — czystą własnością polityczną. Jeżeli Rosya odrzuca propozycye angielskie, to dlatego, że jako państwo kierujące chce mieć pierwszą myśl, pierwsze słowo i pierwszy czyn w działaniu na dalekim Wschodzie. Odmowa jest najzupełniej logiczną.

Tydzień polityczny. W sprawie Dreyfusa nowe podniesienie kotary. *Figaro* ogłosił zeznania, poczynione i w *Chambre* w zreformowanym sądzie kasacyjnym. Gen. Roget wykazywał, że nikt inny prócz Dreyfusa nie mógł napisać *bordereau*. Cavaignac podtrzymywał też samą tezę, której bronił zresztą jako minister w r. z. Nie przeczą anti-rewizyoniści po odczytaniu dokumentów, że było dużo błota w sztabie i że to błoto obryzgiwało sprawiedliwość, ale twierdzą przytem, że Dreyfusa skazano słusznie. Do zeznania Esterhazego, jakoby mu dawali krewni skazanego żydzi 600.000 fr. za przyznanie się, nikt nie przywiązuje wagi. Dziwna rzecz tylko, że takiego łotra puszczono wolno z Paryża, zamiast ściągnąć go siłą, i że go przedtem zaopatrzono w glejt. W czerwcu powinien być wyrok względem rewizyi.

Pomiędzy Anglią a Niemcami nowe rozgoryczenie o Samoa, gdzie wojna domowa zwolenników Mataafy ze zwolennikami Malietoy odebrała Europejczykom rozum i zmieniła się w wojnę Anglików i Amerykanów z Niemcami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWA NAGANKA.

Siedem lat już upłynęło od chwili masowej wędrówki naszego ludu za ocean. Zjawisko to, jak wiadomo, zrodziło się na gruncie ekonomicznym, wybujało zaś do olbrzymich rozmiarów pod wpływem naganki złoczyńców pewnej kategoryi, którzy działając w formie organizacyi, zniszczyli tysiące rodzin i narazili kraj na wielką klęskę społeczną. Emigrowały nietylko jednostki dzielniejsze i przedsiębiorcze, tj. ta kategorya ludzi, która, tworząc i szerząc kolonizacyę, wnosi kulturę do krajów stojących na pierwotnym poziomie cywilizacyjnym. Rzuciły się na oślep do Brazylii przeważnie masy ciemne, niezaradne; poszli tam nietylko młodzi, zdolni do pracy, lecz także starcy, ludzie wątli, schorzali, którzy zginęli w drodze lub wkrótce po wprzęgnięciu się do niewoli przedsiębiorców brazylijskich.

Jaskrawe przykłady nędzy i nieszczęścia rozwiały obrazy dobrobytu i raju ziemskiego, rozsnute przez naganiaczów: emigracya ustała. Ale zarodek jej, niewytępiony, tkwi w organizmie ludu naszego, bo nie zdołano usunąć przyczyny głównej: więc wychodźtwo może znowu wybuchnąć z całą gwałtownością, przy warunkach przyjaznych. Obecnie jesteśmy właśnie w przededniu tego niebezpieczeństwa. W gub. Lubelskiej i innych okolicach kraju zaczęli krążyć podżegacze. Tym razem podsuwają im nową ziemię obiecaną: rozległe obszary syberyjskie. I teraz powtórzyło się to samo, co się powtarza od lat wielu, użyto tych samych środków zachęty, jakich się używa stale i jakie dały pierwszy początek masowym wędrówkom ludności rosyjskiej jeszcze w początkach wieku bieżącego. Oto, co pisze Maksimow w drugiej części swego dzieła („Syberya i ciężkie roboty“): „Jedna jakaś wieść mogła nawet podczas prawa pańszczyźnianego poruszyć z miejsca setki i tysiące ludności osiadłej, pchnąć je na oślep w strony nieznane ku ziemi obiecanej. Taki ruch powstał r. 1825 śród włościan obywatelskich 20 guberni, między któremi z Penzeńskiej, Symbirskiej i Saratowskiej wywędrowała masa ludności i dotarła do granic wojska uralskiego w poszukiwaniu sławnej i cudownej rzeki Daryi. Przyczyną wędrówki włościan była wieść o jakimś niby ukazie senatu z 23 lutego 1823 r., który jakoby pozwalał poddanym pańskim osiadać na ziemi skarbowej za rzeką Uralem, upoważniał do porzucenia stron rodzinnych i wyemigrowania. Szli tedy pieszo, bez pieniędzy i żywności, podtrzymując się jałmużną, szli bez żon i dzieci, pozostawiając rodziny i gospodarstwa na łasce losu...“ Wszyscy pragnęli dotrzeć bez przeszkód do miejscowości szczęśliwych, gdzie po przybyciu każdemu gospodarzowi dają natychmiast potrzebną ilość bydła i ptactwa domowego i gdzie każdy, wszedłszy do domu gotowego, znajdzie na stole dębowym 500 rb. na pierwsze potrzeby gospodarstwa. „Opowiadano, że sam cesarz i wielki książę Konstanty Pawłowicz dali włościanom wolność i pojechali wybierać im miejsca; że chan kirgizki, na prośbę ludu swego, wyraził chęć zaludnienia kraju włościanami rosyjskimi, że cesarzowi to się podobało, więc polecił senatowi pisać ukazy...“

Zupełnie podobnych środków podnięty użyli jacyś podżegacze przed paru laty w gub. Wileńskiej i Kowieńskiej, skutkiem czego powędrowały na Syberyę masy włościan, ale po roku tułactwa wróciły znękane i wynędzniałe do miejsc rodzinnych, gdzie już nie było niestety, ani domu, ani ziemi własnej. To samo się zdarzyło w kilku wewnętrznych guberniach Cesarstwa. Tym sposobem pomnożyły się szeregi ludności bezrolnej, rzesze nędzarzy, obarczających kraj. Władze zwróciły wtedy na to baczną uwagę, przedsięwzięły surowe środki ścigania i karania podżegaczy.

Obecnie te same środki zachęty zaczynają się szerzyć w Królestwie Polskiem. Rozpuszczono pogłoskę, że na Syberyi pan-

U SCHYŁKU.

Matka *(do lekarzy)*. Możeby cośkolwiek na uspokojenie? Proszę panów, na uspokojenie! Panowie nie macie wyobrażenia, jak się rzuca w atakach... Strach patrzeć!

Pierwszy lekarz. Właśnie będzie tu mikstura, którą należy dawać podczas gorączki.

Matka. Nie śpi wcale od paru tygodni. Albo się rzuca w malignie, albo ot tak jak teraz — martwy! Chwilami tylko przytomność wraca. Sen pokrzepiłby go. Panowie nie widzicie tego: panowie nie widzicie, co się z nim dzieje.

Stary lekarz. Uspokój się, droga pani, robimy, co można.

Matka. Ach co można! Trzeba robić więcej, bo inaczej nic tu nie pomoże *(w najwyższym niepokoju)*. Nic!

Stary lekarz *(biorąc jej ręce)*. Biedna matko! Zawierz mi, co tylko będzie w mojej mocy, zrobię dla twego syna.

Matka *(walcząc ze łzami)*. Tak, tak, drogi panie, dla mojego syna! Pan go znałeś od dziecka, byłeś naszym przyjacielem. Przecież niepodobna dać mu tak cierpieć, pozwolić tak młodo... *(łzy głos jej tamują)*.

Pierwszy lekarz. Niech pani się uspokoi, tylko wtedy można być pomocnym choremu.

Matka. Pan mówisz mnie o spokoju! Chyba nie masz dzieci. *(Odchodząc do chorego)*.

Stary lekarz. Możeby w częstszych dawkach...

Pierwszy lekarz. Organizm zbyt wyniszczony, temperatura może spaść nadmiernie. Odmienić okłady na serce? *(pisze na kartce i podaje lekarzom do przejrzenia; stary potwierdza skinieniem głowy, młody usuwa ręką kartkę nie czytając)*.

Stary lekarz. Co pan mówisz?

Młody lekarz. Chciałbym leczyć chorego, a nie pieścić się z nim. Tu jedynie zaradzić może energiczny środek.

Pierwszy lekarz. Albo zabić. Wasz środek, szanowny kolego, zbyt jest ryzykowny.

Stary lekarz. Należy przedewszystkiem utrudnić dalszy rozwój choroby.

Młody lekarz. Należy usunąć ją zupełnie, wlać w organizm nowe życie, zepsutą krew zamienić na czystą. Tego człowieka trzeba przetworzyć.

Pierwszy lekarz. Bawisz się pan w aforyzmy.

Stary lekarz. Najpiękniejsze teorye na nic się nie zdadzą, jeśli nie znajdą zastosowania w praktyce.

Młody lekarz. Dowiódłbym, czy zmalałyby. Boimy się wszelkiego energicznego czynu i dajemy chorobie w naszych oczach zabierać ofiary.

Pierwszy lekarz. Na nieszczęście organizm nasz nie jest przystosowany do podobnych, jak, pan życzysz, wstrząśnień...

Młody lekarz. Nie jest również przystosowany do takich oto *(wskazując chorego)*: przesileń... Tu mikstury, ani okłady nic nie pomogą. Chcę chorego nie podtrzymywać, ale odrazu postawić na zdrowych nogach.

Pierwszy lekarz. W takim razie całą odpowiedzialność bierzesz pan na siebie. Ręki do podobnych zamachów przykładać nie mogę *(sięga po kapelusz)*.

Stary lekarz. Za pozwoleniem! Nie możesz pan opuścić naszego chorego. Jeśli się cofniesz, nikt w mieście nie ośmieli się stanąć po panu.

Młody lekarz *(porywczo)*. To mnie należy ustąpić. Przed staremi powagami nasze młode prawdy milczeć muszą. *(Chwyta kapelusz i spieszy do drzwi)*.

Matka *(zachodząc mu drogę)*. Dlaczego odchodzisz, doktorze? Wszakże nie masz zamiaru opuścić mego syna?

Młody lekarz. Masz pani starego przyjaciela i znaną znakomitość. Tu niema miejsca dla młodych sił.

Matka *(prowadzi go do łóżka)*. Popatrz pan. Taki młodzieniec, jakim sam jesteś. Mógłby być ci bratem. I jego głowa i jego serce pracowały gorąco. Ach, za gorąco!... Opuścisz go? Odchodzisz wiedząc, że mógłbyś pomódz? Przyjdź tylko posłuchaj, jak się targa w męczarniach, kiedy maligna go weźmie. Przyjdź, posłuchaj — a potem odejdź, jeżeli zdołasz.

Młody lekarz. Pani — wszakże jestem tu, aby radzić... Lecz tamci panowie... Jestem młody, a młodość ma tę wadę, że jej „powagi“ nie wierzą.

Matka. Ach, nie mów pan. Ja tego nie rozumiem. Ja tylko chcę, abyś tu został i ratował mego syna — tak jak i tamci

stwo daje emigrantom ziemię darmo, że zaopatruje kolonistów w narzędzia rolnicze, a nawet pieniądze na pierwsze potrzeby gospodarstwa, że zapewnia bezpłatny, albo przynajmniej bardzo tani przejazd na miejsce kolonizacyi. Jakoż pod wpływem tych wieści już pewne gromadki włościan wyjechały do ziemi obiecanej. Inni podobno wyprzedają się i pójdą w ich ślady. Władza już przedsięwzięła środki zapobiegawcze, wyjaśnia włościanom, że zorganizowano przesiedlenie na Syberyę służy tylko dla ludu z głębi Cesarstwa, głównie z tych gubernij, które prawie stale trapione są głodem i wszelkiemi klęskami żywiołowemi. Pomimo to, ziarno zasiane przez podżegaczów zaczyna już wydawać plony.

Zobaczmy, co przynosi przesiedlenie i w jakim stanie jest ruch emigracyjny, skierowany na Wschód za Ural. Według sprawozdania p. Czaruszyna za r. 1888, z 2,825 rodzin, o których zebrano dokładne szczegóły, 1,250, tj. przeszło 44%, miało przy sobie po przybyciu do Tomska nie więcej, niż po 10 rb. na każdą rodzinę: były zaś i takie, które nie miały ani grosza: 819 rodzin, czyli prawie 29%, miały po 10—50 rb. Tak więc 73% wychodźców nie posiadało żadnych środków na pierwsze zagospodarowanie w nowem miejscu.

Przed kilku laty w okręgu Akmolińskim organ miejscowy podał ciekawe szczegóły urzędowe o położeniu przesiedleńców tamtejszych. Gubernator, zwiedziwszy kolonie, przekonał się, że wiele rodzin jest w ciężkiem położeniu skutkiem ziemi jałowej. Wynikło to z następujących przyczyn: przed rozkolonizowaniem tej ziemi były tam wysłane dwie partye miernicze w celu zrobienia pomiarów i opisów. W sprawozdaniach zamieszczono takie uwagi: „Niema wody“; „niema łąk“; „niema lasu.“ Pomimo to osadzono tam kolonistów. Naturalnie doszli oni do zupełnej ruiny, skutkiem czego musiano dla nich wyszukiwać lepszych gruntów drogą administracyjną. Stwierdzono mnóstwo podobnych błędów w pierwszych latach stosowania prawa przesiedleńczego, które istnieje od r. 1889. Przepisy te pozwalają administracyi orzekać, czy wychodźtwo z danej miejscowości jest konieczne, czy też nie. Gubernatorowie, zawiadamiając ministeryum spraw wewnętrznych o wyrażonej przez włościan chęci przesiedlenia się, powinni donieśienia swoje zaopatrywać w uwagi osobiste o warunkach, wywołujących żądanie emigracyi; za podstawę zaś do tego mają służyć materyały, zebrane przez urzędników administracyi powiatowej, zarządy ziemskie, a głównie przez t. zw. „isprawników“ tudzież stworzonych specyalnie w tym celu naczelników rewirów. System taki wykazał już wiele braków. Niemniej jednak kolonizacya zorganizowana czyni postępy. Według najświeższego sprawozdania, od r. 1882 do 1899 wyemigrowało na Syberyę 1,117,715 ludzi. Nadto do t. zw. kraju Ussuryjskiego przewieziono morzem 32,380, czyli ogółem z Rosyi europejskiej przesiedliło się na Syberyę do ostatniej chwili 1,150,095 ludzi. W roku ubiegłym przekroczyło Ural 205,645 ludzi, tj. więcej, niż w r. 1896 (202,302). Z ogólnej liczby przesiedleńców, 68% nie może sobie znaleźć miejsc dogodnych.

Od chwili wprowadzenia t. zw. partyj mierniczych w celu podziału gruntu dla osadników, łącznie z robotami 1898 r. rozmierzono 5,744,000 dziesięcin, na co wydano ogółem 1,938,286 rb. Zajęto częściowo lub zupełnie 4,308,000 dzies. (287,200 ludzi). Ziemi wolnej, zdatnej do kolonizacyi, w chwili obecnej jest tylko 60,000 działek dla rodzin.

Jeżeli będziemy liczyli przeciętnie cztery osoby na rodzinę, to przypuścić możemy, że w roku bieżącym 200,000 ludzi zajmie 50,000 działek, a więc tylko 10,000 pozostanie na rok przyszły. Organizacya kolonizacyjna znajdzie się tedy w wielkim kłopocie, bo jeżeli w takim samym stosunku wychodźtwo będzie się rozwijało dalej, to na rok przyszły zabraknie odpowiednich przestrzeni dla 40,000 rodzin włościańskich z głębi Cesarstwa. A więc nadmierna liczba kolonistów będzie musiała radzić sobie sama, tj. rozwinąć bohaterską, nadludzką siłę woli i żelazną, niczem niepohamowaną energię, ażeby wypowiedzieć wojnę wszelkim nieprzyjaznym warunkom kolonizacyi rolnej w surowym kraju. Walka ta miałaby do czynienia z klimatem, warunkami ekonomicznymi, topograficznymi, geologicznymi i wogóle tem wszystkiem, co stoi po za obrębem nawet pierwotnej kultury. Walkę taką mogłyby prowadzić tylko fachowe, zamożne warstwy ludności światłej.

Ci nawet koloniści, którzy już zagrzali miejsce i stworzyli jakie takie podstawy gospodarstwa, są w niektórych miejscowościach Syberyi w fatalnem położeniu. Świeżo *Peterb. Wied.* zamieściły osobny artykuł p. t. „Wsie głodne na Syberyi,“ w którym mówiąc o kolonizacyi części zachodniej gub. Tomskiej, opisują ciężkie położenie sześciu osad, założonych w ciągu ubiegłych trzech lat w pobliżu stacyi Tatarskiej kolei Syberyjskiej, a więc względnie w lepszych warunkach kulturalnych. Wszystkie zasiewy w tamtych stronach przepadły skutkiem suszy, tak iż koloniści zostali zupełnie bez zboża i muszą szukać ratunku w miłosierdziu publicznem.

Wyobraźmy sobie teraz naszego chłopa, stojącego po za wszelkimi przywilejami prawa kolonizacyjnego, który idzie na Syberyę bez żadnej pomocy zorganizowanej, pozostawiony własnemu losowi. Naturalnie idzie na zagładę niechybną. Słuszne tedy jest przeciwdziałanie władz, które ostrzega emigrantów z Królestwa, że prawo kolonizacyjne wcale się do nich nie stosuje, że

---

starzy. Wszakże masz matkę, masz kogoś, kto cię kocha... rozumiesz, coby działo się z nimi, gdybyś ot tak, między życiem i śmiercią, ni żyw, ni umarły. Piąty tydzień — piąty tydzień!

Młody lekarz *(zniżając głowę)*. Jeśli pani życzy sobie... Gdy atak nadejdzie, proszę przysłać po mnie.

Matka. Uspokoisz go?

Młody lekarz. Pozwolisz pani — na wszystko?

Matka *(półgłosem w niepokoju)*. Tamci się nie zgadzają? *(Lekarz potwierdza skinieniem głowy)*. A pan — wierzysz?

Młody lekarz. Jak w prawdę.

Matka *(patrzy nań badawczo w silnym niepokoju, a potem nagle, biorąc go za ręce)*. Panie... Ratuj mego syna!

Młody lekarz *(z głębokim ukłonem)*. Przyjdę na wezwanie *(wychodzi)*.

Pierwszy lekarz *(wręczając recepty)*. Okłady na głowę i serce. W atakach dawać lód, co najwięcej. To zaś mikstura; po łyżce w pół szklance wina, gdy pić zażąda.

Matka *(zapamiętując)*. Po łyżce, w pół szklance wina *(z zaniepokojeniem)*. Już odchodzicie panowie? *(do starego lekarza)* I pan także?

Stary lekarz. Mam ciężko chorych, łaskawa pani. Lecz jeszcze dziś wstąpię, proszę być pewną.

Matka *(przenosząc niespokojne wejrzenie z syna na lekarza)*. A jakże chory? Nic mi o nim nie mówicie, panowie.

Pierwszy lekarz. Człowiek czyni, co może, reszta w ręku Boga.

Matka. Ale cóż się z nim dzieje? Czemu tak leży bez czucia, ledwie oddycha? Czemu ani kropli krwi w jego twarzy? *(do starego lekarza)*. Ach, panie, czego ja się doczekam?

Stary lekarz. Pani droga, nie rozpaczaj; miej ufność w Bogu.

Matka. Odsyłacie mnie do Boga! Ale cóż wy tu, na ziemi.

Pierwszy lekarz. Organizm młody wiele przenieść może. W naturze dzieją się nieraz rzeczy nadzwyczajne.

Matka. Więc już tylko nadzwyczajność? Doktorze, już tylko cud?... O, synu! synu! *(pada z rozkrzyżowanemi rękami na chorego. Lekarze pocichu wychodzą. Stara niańka zbliża się)*.

Niańka *(staje przy łóżku i płacze cicho)*. Dzieciątko biedne... Juześ ty nie królewicz nasz, już ty nam nie pociecha... Zajdziesz, ty słonko, w ziemię, oczka twoje jasne żwirem cmentarnym przysypią, na piersi twojej młodej kamień postawią...

Matka *(zrywając się)*. Niańko, niańko! miejże litość nade mną! Raczej mów, poradź cośkolwiek!... Wszakże nieraz, gdy był mały i chorował, a ja młoda i nieporadna za łzami świata nie widziałam i myśli mi wszystkie z głowy jak ptaki spłoszone ulatywały, tyś wtedy zawsze coś umyśliła, coś uradziła. Pamiętasz?

Niańka. Czy raz, czy raz? Jakże nie mam pamiętać.

Matka. Czyż teraz nic już nie znajdziesz w swojej starej głowie? Może co wiesz przypomnij sobie?

Niańka *(myśli chwilę)*. Chyba ziółkami okadzić? O, głowoż ty moja! Tożem na śmierć zapomniała. Mam takie ziółeczko cudowne, w samej Jerozolimie poświęcone — pielgrzym mi jeden ofiarował. Z żalu zapomniałam. Ot tu, za ramę obrazu wtedym je schowała. *(Idzie do obrazu i sięga za ramę)*. A są, są, gdzieżby być mogły? Pod strażą Przenajświętszej Matki tyle lat się chroniły. Zapalmy świecę. *(Zapala przed obrazem)*. Ty, pani, módl się, a ja kadzielniczkę przyniosę i gdy skończysz trzecie „Zdrowaś“, posypię ziółka na węgle żarzące i dokoła wezgłowia obniosę *(wychodzi)*.

Matka *(przed obrazem)*. O, Przenajświętsza! O, Matko bolesna. Wyschłaż łask twoich krynica? Zamkniesz-że twe serce na jęki matki? *(pochyla się czołem do ziemi)*.

O. Panie, Panie, ręka Twa groźna padnie na głowę dziecka, na głowę szaleńca? Tyś miłosierny — Tyś Wielki... Och!

Niańka *(wraca z kadzielnicą żarzącą)*. Jezu miłosierny, nie popamiętaj jej! *(zbliża się szybko)* Nie tak modlisz się, pani! Mów „Zdrowaś Marya.“

Matka *(z jękiem)*. Nie bierz mi dziecka, Boże, nie bierz mi dziecka...

Niańka *(klękając obok)*. Mów pani ze mną: Zdrowaś Maryo, łaskiś Bożej pełna... *(szepcze ciszej, a potem kończąc głośno)* w godzinę śmierci naszej, Amen.

Matka. Wspólnej naszej śmierci, bo ja go nie chcę przeżyć, nie!

Niańka. Węgle mi się ćmią *(dmucha na*

zatem nietylko kolonizacya na miejscu, ale nawet podróż do kraju tak odległego jest nad ich siły. A więc zarówno w interesie państwa obarczonego ruchem przesiedleńczym i ludności emigrującej, jak wreszcie i społeczeństwa tutejszego, powinno być zapobieganie nowej klęsce, która może w wielkich rozmiarach spaść na kraj cały.

Z GALICYI.

Ogólne położenie Austryi w stosunku do Galicyi. — Czesi i my w polityce i rzeczywistości. — Co się dzieje w Banku kredytowym we Lwowie? — Różne samobójstwa. - Awantury szkolne.

Ostatnie czasy dostarczyły nam bardzo dużo i bardzo smutnego materyału do rozmyślań. Przedewszystkiem ogólne położenie Austryi niepewne, niejasne, objawiające się konwulsyjnemi drganiami, wciąga w zamęt państwowy także Galicyę, a następnie nasze własne życie — ach, to życie! Człowiek znużony jest obserwowaniem go, szuka gorączkowo jakiegoś jaśniejszego punktu, i doprawdy, widzi, że to nawet, co błyszczy nadzieją, otoczone jest mgławicą.

Austrya nie może znaleźć drogi do prawidłowego życia. Z jednej strony rząd bez rozumnej energii, stanowczości i jasnego celu, maca dokoła siebie, jak ślepy; z drugiej pycha bezbrzeżna dwóch małych narodków rozdyma się aż do wstrętnych form i pragnień ambitnych, żądając dla siebie więcej miejsca i zysków kosztem innych. Dualizm państwowy Austryi był tylko wstępem do federacyi, wskazał drogę przyszłości i możność utworzenia monarchii federacyjnej. Dziś już nie można powstrzymać rozwoju tej idei śród ludów Austryi i spokój może być uzyskany na drodze autonomii zupełnej -- względnie poszczególnych krajów. Nikt nie chce nie ustąpić na korzyść innych ani z praw swoich, ani z funduszów. Austrya boi się wyrazu „federacya," chociaż dziś już jest ona niczem innem, tylko państwem federacyjnem. Chodzi o to, ażeby posunąć się o krok dalej. Prędzej czy później ona posunąć się musi, bo inaczej walki narodowościowe zniszczą jej przestarzały organizm. Dotychczas Austrya wyzyskuje te walki z doskonałą przebiegłością na własną korzyść, ale ta korzyść jest jej zgubą, bo zamiast godzić powaśnionych, ona jątrzy i wywołuje nieskończone pretensye religijne i narodowościowe. Rozszerzenie autonomii krajów i pozwolenie załatwiania sporów wewnętrznych w domu, we własnych sejmach, ukróci swawolę ludzi ambitnych, goniących za popularnością i stanowiskiem. Przedewszystkiem wyszłoby to na pożytek Galicyi. Kraik ten był spokojniejszy pod rządami absolutnymi, niż jest teraz przy połowicznej wolności, gdy Wiedeń wtrąca się do każdej sprawy, a nieraz odgrywa rolę agenta prowokacyjnego. Nie tęsknię wcale do powrotu rządów Bachow i spółki, ale utrzymuję, że powność załatwiania spraw krajowych w kraju podetnie skrzydła ambicyom różnych prowodyrów, przyczyni się do uspokojenia i do lepszej niezawodnie przyszłości.

Rozszerzenie autonomii wydaje się niektórym politykom osłabieniem państwowego stanowiska Austryi. Wiele na ten temat mówić można, ale do takiego wniosku ja bym nigdy nie przyszedł. Więcej nawet powiem: gdyby t. zw. „mocarstwowe stanowisko," do którego pną się gwałtem małe państwa, nie zawracało głowy politykom, byłoby lepiej i państwom i narodom je zamieszkującym. Kołaczą się u nas dotychczas, niestety, błędne pojęcia o wielkości państwa w stosunku do wielkości armii i floty, ale — jest to temat zbyt niewdzięczny, aby o nim mówić.

Źródłem wszystkich wichrów państwowych jest sprawa czysto niemieckiego zatargu, do którego i my wmieszaliśmy się nie w porę i bez potrzeby.

Z niektórych półsłówek w dziennikach urzędowych wnioskować można, że w tę sprawę wdał się sam cesarz i życzy sobie jej załatwienia. Już o tem głośno piszą, że Thun zamierza przeprowadzić językowy podział kraju w Czechach, tj. da Niemcom to, czego najskrajniejsi ich dowódcy pragnęli. I tak się stać może niezawodnie. A wówczas nasuwa się pytanie: cóż my zyskaliśmy na sojuszu z Czechami? Nic. Kilka słodkich toastów, kilka mów z ukłonami, kilka fałszywych westchnień do przyjaźni. Faktycznie Czesi zajmują względem nas wrogie stanowisko. W prasie ich więcej wprawdzie umiarkowania, bo polityka nie pozwala na walkę, ale w życiu — spodem, dołem inna fala płynie. Tam wszędzie, gdzie Czesi stykają się z Polakami, a głównie na Szlązku austryackim, chociaż, jak wiadomo, jest ich tam bardzo mało. Czesi zachowują się w sposób najbrutalniejszy. Ich przemysłowcy i inżenierowie nietylko usuwają robotników, mówiących po polsku, ale każą im pod grozą wypowiedzenia zarobku posyłać dzieci do szkół czeskich. Otwieranie tych szkółek jest także ciekawe: odbywa się to na żądanie inteligencyi czeskiej wbrew woli większości polskiej, dlatego jedynie, że ta większość jest uboga, robotnicza, bezbronna. Pisma szlązkie są pełne skarg. Niedawno pisał dr. Michejda z Nawsia o tem, jak stosują Czesi równouprawnienie językowe w adwokaturze: obrońcy pisują stronom podania po czesku, bez względu na to, że tego języka strony nie rozumieją. W Dąbrowie urządzili niedawno oficyaliści i dozorcy kopalń zabawę, w której programie była także jednoaktówka p. t. „Testament żebraka." Żebrak zapisał torbę Polakom z życzeniem, ażeby sobie wywędrowali z kraju, a kij — Czechom, ażeby Polaków i Niemców wypędzili. Publiczność czeska, której polityka „w górze" nie obowiązuje, okropnie była z tych głupich dowcipów zadowolona. Na tem bynajmniej przyjaźń polsko-czeska nie kończy się. Księztwo Cieszyńskie uważają oni za własność korony św. Wacława, a nie mogąc sobie poradzić z Niemcami pod bokiem Pragi siedzącymi, marzą o podboju Szlązka austryackiego. Wprawdzie zaprowadzono tam coś podobnego do równouprawnienia językowego, ale pozostaje ono bez skutku. Sąd wyższy w Bernie nasyła na Szlązk urzędników Czechów, dyrekcya poczt czyni to samo, słusznie więc użalają się Polacy, że teraz nie wiedzą nawet, na czem polega i jak rozumieć owo równouprawnienie, bo zyskają chyba tyle, że zamiast Niemców będą ich za łeb trzymali Czesi. Jakiś, prawdopodobnie znakomity, historyk czeski — bo u nich tylko znakomici ludzie się rodzą — Hugo Dworzak, utrzymywał niedawno w *Narodnich Listach*, że całe księztwo

---

węgle). Mów pani drugie „Zdrowaś." Świeca skwierczy i gaśnie. Popraw pani knot w świecy. Zły znak... Prędzej, knot popraw! *(Matka poprawia).* O, znów zatliła się jasno! Da Bóg, wyratujemy nasze dzieciątko.

Matka. Wyratujemy go? Niańko, czy naprawdę go wyratujemy?

Niańka. Skończyłaś, pani, trzecie „Zdrowaś?" Dobrze. Teraz ziółka święcone na żar sypię. Teraz chorego niemi okadzę. Matko Boża, ratuj biedną dziecinę *(idzie do łóżka).*

Matka. Och, niańko, serce mi pęka.

Niańka. Dym strużką w górę idzie...

Matka. Co to ma znaczyć, niańko?

Niańka. Cudowe ziółka do nieba wprost ciągną *(powiewa kadzielnicą nad głową chorego).* Z za dymu świętego, jak Chrystus z kości słoniowej, taki biedziuchny, cichy...

Matka *(z niepokojem).* Lecz może mu dym zaszkodzi? Ach, stój! powieki drgnęły.

Niańka. Święte rzeczy zaszkodzić nie mogą. Spójrz no pani! Czy nie mówiłam? Życie powraca!

Matka *(klęka przy łóżku i kładzie rękę na czole chorego).* Dziecko moje!...

Chory *(otwiera oczy i patrzy przez chwilę zbierając myśli z wytężeniem).* Mamo...

Matka. Jakże ci, kochanie? Co z tobą się dzieje?

Chory. Źle mi...

Matka *(z jękiem).* Och, dziecko moje...

Chory. Z twojemi łzami mnie źle.

Matka. Ja nie płaczę — najdroższy. Czegóżbym płakać miała? Doktorzy zapewniają, że wkrótce wrócisz do zdrowia. Popatrz, czyż moja twarz nie wesoła? Ja się uśmiecham.

Chory. Co za dziwna woń roztacza się dokoła! A tu kto przy mnie? To ty, niańko?

Niańka. Poznał mnie! paniczku mój, robaczku... *(całuje jego nogi).*

Chory. Smugi błękitnej mgły snują się nade mną. Jak mi mdło — lecz błogo zarazem. Dajcie mi pić.

Matka *(podając mu kubek do ust).* Oto dobre stare wino.

Chory *(pijąc).* „Nie lejcie starego wina..." Mamo, jakże tam? Nie pamiętasz?

Matka. Co chcesz, dziecię?

Chory. „Nie lejcie — nie lejcie" - A! „w nowe stągwie nie lejcie starego wina." Lecz ja nie jestem już nową stągwią; stare wino zatruło mnie.

Matka. Nie myśl, dziecinko, o tych rzeczach.

Chory. Zasnąłbym, a nie mogę. Daj mi co na sen, mamo. Chciałbym śnić o czemś innem, nowem. Chciałbym nie pamiętać.

Matka. Przypisali ci na sen lekarze; zaraz zażyjesz.

Chory. Nie, lekarstw nie dawaj, nie chcę.

Matka. Wszakże muszą cię uleczyć, dziecinko.

Chory. Kiedym był mały — pamiętasz niańko? — zamawiałaś mi krew z zarżniętego palca, okadzałaś mię ziółkami... I dobrze nam było - wierzyliśmy oboje.

Niańka. Gołąbku mój!

Chory. Lecz pocóż mi ci kuglarze nauki? Nie chcę tych bredni, w które oni sami nie wierzą. *(Po chwili)* A i ty, matko, w skarbnicy swej miłości nie masz już nic dla mnie.

Matka *(z jękiem).* Och, synu...

Chory. Nie płacz; nie oskarżam cię. — Podnieś mię nieco. Przytul do siebie. Będzie mi tak lepiej. Będzie mi odważniej, z tobą—wobec tej ciemnej ziejącej pustki.

Matka. Synku mój, nie mówiłam ci nigdy o pustce. Nad nami i przed nami jest Bóg.

Chory. Lecz niema go w nas.

Niańka. W imię Ojca i Syna! Paniczku złoty, a gdybym pobiegła po księdza proboszcza. Niechby tu przyszedł z Panem Bogiem. Wnet nam wszystkim zrobi się weselej, a i w domu święciej będzie.

Matka. Istotnie, może byłoby ci spokojniej? Nasz proboszcz taki zacny, tak cię kocha.

Niańka. Polecę po księdza, dobrze? Już pędzę.

Chory. Po co trudzić staruszka.

Niańka *(grożąc palcem).* Ni — ni! Musi tu przyjść. Uczył niegdyś paniczka, niechże teraz ze słowem bożem tu przyjdzie.

Matka. Niech przyjdzie, synku: dobrze?

Chory. Jak chcecie. *(Niańka wychodzi).*

(C. d. n.).

W. Dał.

Cieszyńskie jest — czeskie. Słusznie też wobec tego napisał *Przegląd polityczny*, wychodzący na Szlązku: „Niech bracia Czesi raz na zawsze wiedzą, że chcemy z nimi zgody i ze względu na położenie Szlązka i ze względów ogólno-słowiańskich, ale niech również dobrze wiedzą, że Ks. Cieszyńskiego nie damy po raz drugi zczeszczyć za żadną cenę, że każdej piędzi polskiej ziemi będziemy bronili do upadłego; niechaj równocześnie pamiętają, że sojusz polsko-czeski musi na Szlązku przebyć swą próbę ogniową i tu się może w kawałki rozprysnąć.“

O czem mówiło Koło polskie, kiedy traktowało z Czechami o popieranie ich dążeń politycznych?

Upadek, czyli lepiej powiedziawszy, zachwianie się kasy oszczędności nie było wcale faktem odosobnionym pewnego rodzaju bankructwa moralnego niektórych sfer i klik. Kasa wspierała przemysł — i zagalopowała się; potem dopiero musiały nastąpić fałszywe bilansy i niepewne weksle, ale przynajmniej sprawa była jasna. Śladami Kasy poszedł Bank kredytowy, w którym biorą udział tak zwani u nas „wybitni ludzie.“ Wybitność jednych polega na tem, że mając dużo pieniędzy, mogą się dopchać do władzy i bałamucić ludzi swoją wielkością; drudzy stali się wybitnymi dzięki przydatności do wszystkiego. Co się dzieje w Banku kredytowym? Nikt na pewno nie wie. Jakaś tajemnicza zasłona zawisła nad bankiem, a prasa czuje się w obowiązku „uspakajać“ publiczność, chociaż tego obowiązku nie czuła względem Kasy oszczędności. Nie byśmy może i nie wiedzieli, co się tam święci, gdyby nie samobójstwo adwokata Krzyżanowskiego, jakiegoś kuzyna — dziesiąta woda po kisielu — dynastyi Badenich. Nie pisałbym o tem, bo wiem, że nie tu miejsce na plotki brukowe, lecz nie o plotki chodzi, ale o zgniliznę moralną, która niewątpliwie jak robak toczy warstwy społeczne, nazywające siebie tak chętnie „wyższemi.“ Krzyżanowski uchodził za człowieka uczciwego. Umierając, napisał list do „bardzo wybitnego człowieka,“ zaczynający się od słów: „Łotrze! opętałeś mnie...“ List czytał notaryusz w obecności Badeniego, który uznał, że „za wielu jest słuchaczy“ — i przeczytano na osobności. Czy sprawa samobójstwa, będąca w blizkim stosunku z Bankiem kredytowym, dostanie się do sądu — nie wiem, dość, że jest ona bardzo blizko związana z jego finansami. Powiadają, że jeden z dyrektorów wziął od Krzyżanowskiego papiery procentowe cudze i wymienił je na gotówkę. Finansiści utrzymują, że to się wszędzie dzieje — może być, ale jest to rzeczą tem smutniejszą, bo nieposzanowanie cudzej pracy i grosza przez tych, którzy go strzedz obowiązani byli, chyba do wzmocnienia poczucia etycznego nie przyczynia się.

Jakieś niejasne samobójstwa, o których ludzie dużo bardzo i niedobrze mówią, łączone zwykle z mętnymi interesami finansowymi, zdają się być teraz na porządku dziennym. A wszystko to się dzieje w związku i w sferze owych „wyższych warstw,“ wybitnych ludzi, którzy od dwudziestu lat prawie rządzą w Galicyi i kierują sprawami publicznemi. Czesław Kieszkowski z „floryanki,“ który, jak powiadają, siedzi na wsi, chociaż go znana z czujność tutejsza policya odszukać nie może, zapoczątkował erę bankructwa moralnego. Śladem jego poszedł brat, ścigany za fałszerstwo weksli. Sprawa samobójstwa Jędrzejowicza, posła do Rady państwa, z powodu „interesów majątkowych,“ narobiła wiele hałasu. Jeszcze echa jej nie przebrzmiały, strzela sobie w głowę Krzyżanowski. Ledwie pogrzebano tego — nadchodzi nowa wiadomość o samobójstwie Wiktora, posła do sejmu i Rady państwa. I tu także stanęły na drodze „interesy majątkowe.“ A trzeba pamiętać, że są to wszystko ludzie nietylko do „wyższego,“ ale nawet do „wyborowego“ towarzystwa należący, a gdyby żyli, byłby ich hr. Stanisław Badeni niewątpliwie zaprosił na swój wielki raut, o którym fagasy dziennikarskie piszą, że była tam „śmietanka towarzystwa.“ Taka śmietanka zapluje każdego, kto śmie tajniki jej życia poznać, a podniesie do godności „wysokich sfer“ chwalców swoich. Dziś już wiemy, że nietylko gra na giełdzie rujnuje naszych panów galicyjskich, ale gra honorowa po dżokej-klubach. Z obawy, ażeby nie być wykluczonym z tej jaskini łotrów, oni w łeb sobie strzelają, a innej hańby nie czują i nie rozumieją.

Niejednokrotnie zwracałem uwagę w moich korespondencyach na szkoły w Galicyi i zły duch panujący, nie tyle pośród młodzieży, ile śród pedagogów. Nigdy może więcej, niż dzisiaj, nie zaznaczył się ten rozdźwięk między uczącymi i uczącymi się, jaki u nas panuje. Nie dziwię się temu wcale. W Galicyi szkoła coraz bardziej staje się nie instytucyą pedagogiczną, lecz urzędem do napychania wiadomości w młode głowy. Ledwie przebrzmiała sprawa samobójstwa ucznia Żupnika skutkiem nielitościwego prześladowania go przez znanego dobrze wszystkim tyrana i dręczyciela młodzieży, dyrektora Piątkiewicza, aż oto w szkole realnej we Lwowie rozegrał się nowy dramat: dyrektor uderzył w twarz ucznia szóstej klasy za to, że ten palił papierosa, chociaż, jak się pokazało, uczeń idąc ciasnemi schodami, oświetlał sobie drogę zapałkami. Uczniowie przestali chodzić do klasy, żądając zadośćuczynienia. Sprawa to sama przez się wysoce demoralizująca młodzież, bo odrywająca ją od nauki i wytwarzająca brak szacunku dla swoich przewodników; pochwalić jej zatem w żaden sposób niepodobna. A jednak — co robić z takimi dyrektorami, którzy stosują pedagogię po furmańsku, bynajmniej nie do dziecka, lecz do młodzieńca, idącego za rok na wyższe studya? Są tacy, którzy zaprzeczają faktowi uderzenia — ale tylko między profesorami. Nie dziwnego, że tego rodzaju wypadki są ukrywane, nie wątpimy jednak, że Rada szkolna znajdzie jakiś środek zaradczy. Wprawdzie środek ten od wieków wynaleziony: miłość i pobłażliwość. Kto tych cnót nie ma, niech nie będzie pedagogiem, ale wstąpi do wojska austryackiego, gdzie będzie miał szerokie pole do popisów.

Skutkiem niewłaściwego obchodzenia się z młodzieżą, ogarnęła ją formalna zaraza: na Politechnice krakowskiej wynikł zatarg słuchaczów z rektorem, a trzeba przyznać, że ten nietaktem dał powód; w Sanoku także jakieś awantury, Czerniechów ciągle na wulkanie — a któż na tem traci? Nietylko młodzież, ale i społeczeństwo, które ją wychowuje bez miłości dla nauki i szacunku dla ludzi.

Cho.

O SZTUCE I NIE-SZTUCE.

(Luźne uwagi profana).

IV.

„Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją!“

Zaprawdę, piekło przed nami! Kamienice ciągną się po kamienicach, bez odrębności i indywidualności, jak gdyby wcielenie absolutu nudów: regularne, niemalownicze, jednakowo bezbarwne ulice, niekiedy przyozdobione anemicznemi drzewkami, których każdy listek skarży się, iż braknie mu powietrza i ożywczej rosy; gorączkowo spieszące gromady osób nawet w ruchach swoich wykazują zdenerwowanie i głód — nieraz głód ciała, jeszcze częściej uczucia i wogóle ducha. A nad rzędami jednostajnych zrębów i spiekotą życia ludzkiego osłona kurzu, przez którą nawet „oko dnia jasnego“ wygląda zaspane, a zamiast aromatów pól i łąk sadze i wonie, unoszące się z odpadków miejskich.

To wielkie miasto, a w niem, na pokomornem, dusze ludzkie, bardzo biedne dusze.

Ciasno im tam, jak słowikowi, którego zamknięto w klatce — tylko że ptaszyna do ostatniej godziny nie zapomni o gąszczu leśnym i barwach zachodzącego słońca i o powietrzu wolnym od pyłu, a człowiek właściwie pewna odmiana jego, człowiek, wielkomiejski, puszcza to wszystko w niepamięć i żyje w piekle nowoczesnem, koszlawiony fizycznie i emocyonalnie, cierpiący duchem swoim. Nerwy, niedospane i przeciążone, łakną odpoczynku i wzamian otrzymują narkotyki: członki ciała pragnęłyby wyprostować się na powietrzu, a tymczasem istota ludzka po pracy używa wczasów w knajpie: organizm jest wciąż głodny żądzami, zabarwionemi odcieniem histerycznym. Ten i ów zerwie się niekiedy, jak ptak, do odlotu i jeśli opuści miasto, żegna je zawsze urąganiem, bez jakiejkolwiek nuty rzewności.

„Opuszczam stolicę — spowiada się jeden z młodych nowelistów skandynawskich. Trzymała mnie lat piętnaście, przebiegła ladacznica, wmówiła we mnie, iż nie zdołam się obejść bez jej zatrutego wyziewami powietrza, bez podniet, pełnych pożądliwości, bez napiętych wysiłków, wysubtelnionego komfortu. Czyż w ciągu wielu lat nie byłem stałem ogniwem wielkiej maszyneryi, która nas wszystkich traktowała jako swoich niewolników!

„O jak bywałem zmęczony! Przepracowany jak stara szkapa dorożkarska, która, popędzana batem, chętnie rozciągnęłaby się na bruku i tam pozostała, póki nie nadeszłaby śmierć. Jestem do szczętu znużony i pracą i przyjemnościami, i nieustającym wysiłkiem i walką partyjną, koniecznością obrony i napaści, rozbity a w najskrytszej głębi serca zupełnie na wszystko obojętny, chociaż ani w mowie, ani w całej istocie swojej nie odnajduję najmniejszej ospałości.

„Najbardziej dała się mi we znaki ta nieustająca walka o pieniądze. O te pieniądze, które muszę i powinienem zarobić, a które coraz trudniej pożyczyć, oddać, zapracować! Lawina wciąż rośnie, z każdą godziną coraz niebezpieczniejsza, niemożliwa do powstrzymania, niszcząca zdolność do wysiłku w porze dziennej, a nocą zamieniająca sen na ciężką zmorę!“

Takimi wyrzutami żegna miasto jeden z tych, którzy przypomnieli sobie spokój nerwów na czystem powietrzu i zapragnęli odpoczynku w ciszy wioskowej i kontemplacyi ducha. Uciekłszy na świeże powietrze, spotka taką samą, jak całe otoczenie, dziewczynę, która marzy o tem, jak zostać matką — „ja, która nie pamiętam zabaw na łonie matki, już od lat najmłodszych nie mogłam ujrzeć małego bębna, ażebym nie zapragnęła porwać go w objęcia i wycałować,“ a przedwcześnie umierając wyrzuca narzeczonemu, że nie poczuła ruchów własnego dziecka. Pozostawszy w mieście, spotkałby *Uberweib*'a — biorę to wyrażenie w znaczeniu możliwie realnem, fizyologicznem, pragnącą być wiecznie tylko *demi-vierge*, lub dokładniej, *demi-femme*.

Przyjaciel jego, wpleciony od dzieciństwa w inne koło maszyneryi wielkomiejskiej, zachował może władze ciała, ale jak kwiat od mrozu, tak on został zwarzony pesymizmem i realnościami życia i wziął sobie za zasadę nie oddawać swego uczucia i nie marnotrawić skarbów ducha dla istot, których dzisiaj jedynem marzeniem jest ubrać się jako parasolka, a jutro przybrać możliwie kształty dzwoneczka. Znajomym swoim będzie powtarzał, że w młodości układał wiersze dla Eleonory, ta zaś poezyi

nie wysłuchała, ale natomiast zabrała zegarek.

Inny jeszcze — posłuchajmy jego opowiadania, zamiast własnych słów wolę posługiwać się „dokumentami." „Z pośród takiej młodzieży uniwersyteckiej i ja wyszedłem — spowiada się Ola Hansson o „złotych" czasach młodości. Wobec względów towarzyskich zachowywała się obojętnie, brakło jej zainteresowania się własną przyszłością, jej stosunki ze światem niewieścim były pozbawione podstawy realnych zamiarów. Nieraz tylko wierność dla kolegów stanowiła jej jedyne *raison d'etre*. Zwłaszcza zaś brakło jej, a tego brakuje i dzisiaj całemu pokoleniu najlepszej młodzieży, wiary w ideje i ideały naszego wieku, a z niemi wiary i w samą siebie. Czuje, iż grunt pod jej nogami jest podminowany, i że sama jest także podminowaną w życiu zarówno wewnętrznem, jak i zewnętrznem. I jak starzy Germanowie, rzuca do gry w kostki własne życie i przyszłość, tak jak robili ongi przodkowie, gdy zabrakło im innego czynu. Dobre jasne głowy, ale niekrzepkie ciała, ani silne namiętności i żadnego ćwiczenia dla władz całkowitego człowieka. Giną oni w złotym odmęcie młodości, chociaż z pozoru wpływają po jego powierzchni." Nie wszyscy giną przecież, ale wchodzą w życie jako znużone dusze, pełne dosytu i próżni — bierni, jak owe podłe sotnie w piekle Dantego, których i bóg i czart jednakowo się wyrzekają. Nie, nie sotnie, tylko samotnicy, zmęczeni swojem wyodrębnionem istnieniem atomu, a przecież nie stykający się z innymi prócz knajpy.

I oto kiedy przedstawiam sobie ową gromadę artystów, z nowemi hasłami sztuki bez pierwiastków uczucia społecznego; gdy mam przed sobą modernizmy i „nastroje" symboliczne i estetyzm tylko „przedziwnych woni" i „nagiego przepychu," i piękno dźwięków słownych bez skojarzeń logicznych, i sztychy bez proporcyi linii, naturalności barw i logiki zestawień, w wyobraźni mojej wyrasta wielkie miasto. I w orszaku obrazów fantazyi mojej przesuwają się ci młodzieńcy świata mieszczańskiego, na stawkę w kostki kładący życie swoje, pozbawieni wszelkiej wiary, i owe podłe sotnie, których i Bóg nie zechce i czart odrzuci, i przepracowani potępieńcy i katorżnicy inteligencyi, którzyby ot! wyciągnęli się na bruku, ażeby tam, jak zbiedzona szkapa, wyzionąć ducha, i nie-do-mężczyźni z wszeteczeństwem cerebracyi mózgowej, i kobiety w ukrytym obłędzie bachantki, a przedewszystkiem ta nieustająca pogoń za złotym kruszcem, sprawiająca, iż wielu zamienia się na klownów cynizmu i zmysłowości, i tak już wygórowanej przez całe otoczenie codzienne, wreszcie samotność duchowa pomimo ciągłego przebywania z ludźmi...

Tak, moderniści mają słuszność, gdy twierdzą, że ich poezya i malarstwo zwiastuje nowy okres w sztuce — my dodamy, iż miano tej idącej epoki: wielkomiejska. Jeśliby mi kazano dowieść mojej tezy, może znalazłbym się w trudnem położeniu, choć czuję jej prawdziwość całą swoją istotą: obraz ciągnącej gromady modernistów w okopconych i jednostajnych zrębów wielkomiejskich w imaginacyi mojej stanowią jedną nierozłączną całość. Rzecznicy nowej sztuki powiadają, iż z każdem nazwiskiem idą w parze u nich pewne skojarzenia dźwiękowe i wzrokowe. I w mojej jaźni istnieją takie zestawienia imion, zapachów i widoków. Poeci starej, to jest niemodernistycznej daty, ukazują się tam w otoczeniu aromatów i dźwięków przyrody nie-miejskiej, przedewszystkiem zaś na tle plastycznych, tj. wyodrębnionych widoków: strofki Lenartowicza przywodzą mi na myśl Wisłę z jej cichym pluskiem; nie mogę przedstawić sobie Mickiewicza bez wyraźnej, niemal chorobliwie napiętej plastyki kształtów przyrody; imieniu Byrona towarzyszy inne wrażenie, ale także rzeczywiste. Ilekroć zaś mam do czynienia z modernistą, czuję tylko miasto, bardzo wielkie miasto, zapach knajp i nudy saloników mieszczańskich albo samotność wynajętych *chambres garnies*, ludzie z krwi i ciała zamieniają się na manekinów, zbudowanych nie przy pomocy nieświadomej nerwacyi instynktu plastycznego, lecz według konstrukcyj logicznych wyklinanego biednego mózgu. I kiedy fantazya artysty ocknie się, odszuka on w niej nie obrazy cudzej duszy ludzkiej, tylko nastroje własne. I kiedy wreszcie znajdziemy się w obliczu wspólnej naszej macierzy-przyrody, zamiast plastyki jej barw, dźwięków i kształtów, w wyobraźni mieszczucha natrafimy tylko lirykę wewnętrzną błogości, słowem, znowu nastrój...

Dusza miejska... Biednaż ona, tak uboga treścią pomimo pozornego bogactwa, tak podobna jedna do drugiej! Kiedy zacznie szperać w sobie, zawsze znajdzie absolut bruku miejskiego, o ile jej nie uratuje pełnia ideałów społecznych. Plastyki dusz ludzkich — tej plastyki w niej niema, są tylko rzędy manekinów lub krótkie chwile nastrojów. Poczucie przyrody! — i ono nieobecne, o ile mowa jest o kształtach. Istnieje tylko jakaś rzewność, gdy cisza lasu nas owionie i strumień będzie szemrał w pobliżu, słowem jakiś *Stimmung*... Zamiast wzrokiem barwy i kontury, a uchem chwytać dźwięki, pogrążymy się wtedy w półdrzemce — myśli i pół-idee, senne, niejasne, idą korowodem, z niemi kojarzą się niewyraźne emocye, barwy plączą się z dźwiękami... Logiki skojarzeń — przepracowane, a w każdym razie znużone nerwy nie będą drgały „logicznie," tj. zrozumiale dla innych; pijane ciszą, odpoczynkiem, pójdą w podskokach bez skojarzeń „logicznych..."

Niema plastyki duszy ludzkiej i jej postępków, tj. tak zwanego realizmu, i gdy cerebracya zechce zabrać głos, będzie biedną, arcybiedną, bo da schematy i manekinów: nie będzie poczucia przyrody, tylko nastroje na jej łonie: niema zwartości w płodach naszej cerebracyi i nerwacyi, tylko pijaną orgią wspomnień obrazowych i emocyonalnych. Cały modernizm jak na dłoni. I przedewszystkiem często niema głębokiej namiętności, tj. głębokiego polotu uczuciowości. Życie miejskie sprzyja właśnie takim płytkim stanom ducha — owo życie z taniemi i łatwemi rozrywkami, rozstrzelającemi uwagę i strzępiącemi jaźń naszą na drobne cząstki. *Stimmungi*, to wyraz w sztuce rozkawałkowanego życia i rozstrzępionej duszy, to objaw pozbawienia jej treści plastycznej. Zamiast uczuć, pożądania i zmysły, silne, chorobliwie silne, podsycane przez znieprawioną imaginacyę. Bo „nastroje" czerpią materyał z łaknień i głodów ciała. W liczbie tych głodów góruje jeden — wszechwładny, potężny — ów głód, który jako wyraz nieświadomej „woli" Schopenhauerowskiej, jednostkę ludzką i wogóle czującą zamienia tylko na narzędzie utrzymania gatunku. Napięty, nigdy nie nasycony normalnie lub pobudzony chorobliwie, instynktów zabarwia nawet nasz sposób spoglądania na martwą przyrodę. Lubieżność niezindywidualizowana, patologiczna, niekiedy jak pająk wykrzywiona i jak najgorsza nierządnica wyrafinowana i bluźniąca, wżarła się w każde drganie nerwacyi.

Powstają utwory — „nastrojowe." Zrobić mogą one wrażenie tylko wtedy, gdy piszący rozporządza bogactwem dźwięków. Poezya i nawet proza zaczynają naśladować kunszt muzykalny: powinny nie treścią swoją, lecz powiązaniem wyrazów łaskotać ucho, do naszej fantazyi przemawiać nie obrazami, ale usypiać umysł nasz tonami i budzić w nim rozrzewnienie lub tęsknotę...

...Je pleure les lèvres fanées
Ou les baisers ne sont pas nes,
Et les desirs abandonnes,
Sous les tristesses moissonees...

Rzecz charakterystyczna, acz zrozumiała: epoka wielkomiejska, najbardziej kosmopolityczna ze wszystkich, zrodziła najbardziej indywidualną poezyę narodową, poezyę nie obrazów ujętych w wyrazy melodyjne, ale dźwięków i tonów, posługujących się wyrazami.

„Twórczość nie jest kwestyą wolnej woli, lecz produktem epoki!" Święta, jak najświętsza prawda, z tym tylko dodatkiem, że i teorye, które biedny mózg wysnuwa dla usprawiedliwienia płodów ducha, są także tem samem! Każda przekupka zachwala swój towar. I artyści czynią to samo.

Ktoś przeprowadza różnicę pomiędzy „nową" a „starą" sztuką:

„Twórca dotychczasowy kładł nacisk na świadome, logiczne łączenie myśli, operował asocyacyami myśli, tak jak pośrednio za pomocą zebranych już doświadczeń i praw w mózgu się łączą, operował rzeczami zewnętrznemi, które uważał za coś absolutnego w fałszywem pojęciu, że „zewnątrz" i „wewnątrz" zupełnie się pokrywa.

Tymczasem „przedstawiciel nowej sztuki całkiem odwraca się od tego „zewnątrz," jako od rzeczy przypadkowej, zmiennej, wlania się w siebie, chwyta w swej duszy rzeczy słowem nieujęte, odszukuje, po za złudzonym obrazem tak zwanej rzeczywistości całą drobniuteńką sieć pobudek, wpływów, obrazów niejasnych, rzeczy niesformułowanych logiką, stara się wniknąć w zagmatwanie wpływów i oddziaływań wzajemnych, jakie zachodzą pomiędzy całą przyrodą a człowiekiem, słowem nie da się mamić świadomości, a wszystkich przyczyn szuka po za jej obrębem."

Niewątpliwie, różnica pomiędzy starą sztuką, plastyczną, kiedy w umyśle twórcy istniały liczne obrazy cudzej jaźni i psychiki i bogata treść różnorodnych sytuacyj społecznych, a nową, właściwą formacyi wielkomiejskiej, która rozbiła społeczność na atomy pozorne i pozbawiła ich wyobraźnię takiej obfitej treści, została sformułowaną jasno. Co więcej, walka przeciw „mamidłom świadomości" i „biednemu mózgowi" w akcie twórczym jest bardzo zdrowem ziarnem w teoryi modernizmu — powrotem do naturalności w sztuce, do oddawania tego, co istotnie tam w głębi duszy istnieje. Formacya wielkomiejska, nie mogąc zdobyć się na plastykę i znajdując tylko schematy i manekiny w twórczym umyśle w rodzaju maryonetek Ibsena, wzywa do odwrotu — do swobodnej nerwacyi, takiej, jaką rozporządza, a więc do obrazów niejasnych, do rzeczy niesformułowanych logiką. Taką jest geneza teoryi modernistycznej. A przyszłe płody? Płody? — analizujmy rzeczywistość, ale powstrzymajmy się od wszelkiej *Zukunftsmusik!*

K. R. Żywicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Artyzm i nauka.

Między Polakami widać coś nakształt cywilizacyjnego cofnięcia się—pisze p. B. Prus w ostatniej swej kronice. Przed kilkunastu (?) laty ten nadzwyczajnie poetyczny naród począł okazywać zajęcie się filozofią, naukami przyrodniczemi i wogóle poważniejszymi proce-

sami myślenia. Tymczasem dziś cała powaga wzięła w łeb. Ludzie znowu rzucili się do muzyki i do bardzo niezrozumiałej poezyi, a odwrócili się od kwestyj pouczających. Teatry są pełne, na koncerty tłoczą się jak na odpust do cudownego miejsca, ale za to sale odczytowe są tak puste, że możnaby w nich urządzać gonitwy na łyżwach zaopatrzonych kółkami." Uwaga ta nie jest wyrazem fejletonowego żartu, lecz stwierdza fakt istotny i godny głębszego zastanowienia, niż żywe portrety w Dolinie Szwajcarskiej. Jest ona o tyle jedynie mylną, że zaznacza niekorzystną różnicę porównaniem doby obecnej z przed kilkunastu laty. Właściwie bowiem wielkie ożywienie naukowe objawiło się u nas na początku ósmego dziesiątka lat ostatnich, mianowicie wtedy, kiedy „pozytywiści warszawscy" w „młodej prasie" popełniali najcięższe swoje zbrodnie: znieprawiali myśl ogółu, wydzierali mu to, co miał najświętszego," upadlali ludzi, „wyprowadzając ich rodziców od małp," podkładali serca pod „szkiełka pseudomędrców," słowem, gubili społeczeństwo w życiu doczesnem i wiecznem. Była to epoka bardzo dziwna. Dzieła naukowe, nieraz całkiem specyalne (jak np. „Listy o fizyologii" K. Vogta, „Dzieje utworzenia się przyrody" Haeckla itp.) rozkupywano w przeciągu roku, a nietylko kupowano je, ale czytano i nietylko czytali je ludzie starsi, ale studenci i młode panienki. Każda nowa teorya naukowa była natychmiast za pomocą kilku pism popularyzowaną i stanowiła taki przedmiot rozmów towarzyskich, jak dziś *Confetti* lub genealogia Rulera. Bilety na odczyty publiczne rozchwytywano, cyrk przy ulicy Włodzimierskiej nie mógł pomieścić słuchaczów szeregu dziesięciogroszowych wykładów dla rzemieślników. A teraz? Przytoczymy dowody tylko z własnego doświadczenia. Wydaliśmy znakomitą „Fizyologię" Huxleya-Rosenthala — rozeszła się w niewielkiej ilości egzemplarzy. Wydaliśmy „Psychologię dziecka" Welberga, „Historyę filozofii nowoczesnej" Falkenberga i inne prace, wielkiej wartości — nie opłaciły nam nawet kosztów nakładu. Podobne rezultaty osiągnęli inni wydawcy, którzy dotknęli się literatury naukowej, z wyjątkiem może historycznej. Myślami i uczuciami ogółu dzielą się obecnie sport z artyzmem. Kto nie zatonął w cyklizmie, wioślarstwie, łyżwiarstwie, wyścigach konnych, ten marzy o Battistinim, Paderewskim, Maeterlinku, teatrze, koncertach, zdrowej i waryackiej poezyi, „nowych prądach" w sztuce itd. Zdaje się, jak gdyby nad Wisłą ludzie rozwiązali już wszystkie zagadki poznania i życia, przeniknęli wszystkie tajemnice świata i uporządkowali swoje stosunki, nie mają żadnych trosk, niepokojów, zadań, nie potrzebują walczyć ani z ciemnotą, ani z niedolą, lecz tylko bawić się i przystrajać sobie rozkoszny byt w coraz inne uroki. Przez cały karnawał toczyły się zapasy o zdobycie biletów na bale publiczne, a przez cały rok prawie kasa zamawiań jest oblegana przez tłumy, pragnące dostać bilety do teatru. Trzeba widzieć te zabiegi, radości i smutki, te tryumfy i rozczarowania, te kawały szczęścia i nieszczęścia, jakie upatrywano w dostaniu się lub niedostaniu na koncert Paderewskiego lub wieczór taneczny w Dolinie Szwajcarskiej, ażeby zrozumieć, czem my jesteśmy. Pokonani w walce i niemogący usłyszeć znakomitego fortepianisty w Warszawie, pędzili do Łodzi lub Wilna, a „zacne matrony" i ich córki, które nie zadowoliły swoich oczu i nóg na jakimś balu, wpadały w rozpacz, a przynajmniej w głęboki wstręt do życia. Takich obrazów przed dwudziestu kilku laty nie oglądaliśmy. Co one znaczą? Czy stanowią odbicie naszej właściwej natury, czy też jakiegoś chwilowego jej nastroju?

Przedewszystkiem wielkiego zamiłowania do nauki nie mieliśmy nigdy. Literatura nasza przedstawia uderzającą niestosunkowość tworów piękna do dzieł wiedzy. O ile pierwsze stanowią ogromne bogactwo i posiadają pomniki mogące się mierzyć z najwyższemi arcydziełami poezyi całego świata, o tyle drugie są dorobkiem bardzo skromnym. Tę dotkliwą różnicę usiłujemy często wyrównać sztucznem podnoszeniem znaczenia garstki naszych uczonych, ale te starania bardziej świadczą o naszych ambicyach i dobrych chęciach, niż o ścisłym krytycyzmie. Ten mały zastęp, którym możemy się poszczycić, wystarczyłby dla jakiegoś młodego narodu, który niedawno wystąpił na widownię cywilizacyjną, odegrał bardzo podrzędną rolę i nie rozwinął w innych kierunkach swego geniuszu. Ale społeczeństwo, które wydało: Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Stwosza, Chopina, Matejkę i tylu wielkich artystów, które obecnie promienieje świetnymi talentami w dziedzinie sztuki, nie może równoważnie chwalić się Śniadeckim w filozofii, Supińskim w ekonomii politycznej, Wagą w botanice, a Naruszewiczem w historyi. I chociażbyśmy nawet bezsprzecznie wywalczyli dla siebie Kopernika, nie uratuje on nas od pośledniego stanowiska w nauce.

Przy tak wątłym do niej pochopie, przy takim braku tradycyi prac badawczych potrzebaby bardzo wiele i bardzo dobrych instytucyj, któreby rozwijały w nas wątłą zdolność i rozgrzewały chłodne upodobanie. Ta dźwignia jest obecnie zbyt słabą, ażeby można było przypisywać jej wpływ donioślejszy. Nawet tam, gdzie ona pozornie istnieje, przypatruje się niemo swoim wielkim zadaniom, które przerastają jej siły.

Jeżeli więc Polak nie rodzi się i nie kształci do roli naukowej, nie może on objawiać stałej chęci pomnażania swej wiedzy. Pragnie być artystą i jest nim—czynnym lub biernym, tworzącym lub napawającym się wrażeniami piękna. A więc pisze poezye i powieści, maluje, rzeźbi, gra lub uczęszcza do teatrów i na koncerty, zwiedza wystawy, czyta zapamiętale beletrystykę, stroi się, tańczy i uczestniczy w najrozmaitszych widowiskach. W tym kierunku biegną jego popędy z największą mocą. Ten jednostronny rozwój wytworzył w ciągu wieków i wytwarza dotąd atmosferę, w której uczucia rozrastają się olbrzymio, a rozum karleje ustawicznie. Wielkie serca a małe mózgi zagarniają pod swą władzę wszystkie cele i dziedziny życia, panując ciągle nawet nad temi, do których nie mają żadnego prawa. Co jest pożytecznem a co szkodliwem, co zdrowem a co zabójczem, co prawdą a co fałszem, co koniecznością a co przywidzeniem — rozstrzyga uczucie. Zagłusza ono lub wypiera logikę, rachunek, krytycyzm.

Od czasu do czasu jednak spostrzegamy, że nam uczucie nie zastąpi rozumu, a sztuka — nauki... Zwłaszcza olśnieni błyskawicami tej ostatniej, rzucamy się naoślep ku tym światłom i wchłaniamy je chciwym wzrokiem, dopóki zmęczony umysł nie odwróci od nich oczu i nie utkwi ich w swych zwykłych tęczach i zorzach artyzmu. Tak właśnie jest dzisiaj po wytężonym ruchu umysłowym przed 20 laty. Znajdujemy się obecnie w dobie reakcyi uczuciowej, uciekamy z pustych świątyń wiedzy i tłoczymy się w przybytkach sztuki.

Rzecz naturalna, jak chwilowe pobudzenia nie zastąpią stałej energii, tak chwilowe zwroty ku wiedzy nie wyrównywają stałemu jej zamiłowaniu. Chociażby więc owe przyjazne dla niej nastroje powtarzały się bardzo często, nie należy przeceniać ich wpływu i przypuszczać, że one kiedyś wytworzą ciągły stan sił i pragnień, dążących do bogacenia myśli. Upajanie się narkotykiem może tylko na chwilę wywołać zwiększoną działalność organizmu, poczem nastąpić musi osłabienie. Sądzimy też, że gdybyśmy skutecznymi środkami zdołali pobudzić nasze społeczeństwo do zajęcia się sprawami naukowemi, jeśli ono w naturze swej nie posiada odpowiednich uzdolnień, a w warunkach — dostatecznej zachęty, co najwyżej spodziewać się należy od niego krótkotrwałych porywów. Nie łudząc się wszakże przesadnemi nadziejami, czyż zarazem nie musimy przyznać, że jest to jedyna droga podtrzymywania rozumowych sił ogółu? Cóż robimy, gdy serce traci swą sprawność? Podniecamy je za pomocą pewnych środków. Toż samo uczynić trzeba dla spotęgowania funkcyj rozumu. Wyjaśnimy tę metodę bliżej.

Przed dwudziestu paru laty nasza prasa i literatura starały się zaznajamiać czytelników natychmiast z każdą nową falą ruchu umysłowego. Dziś brzmi hasło inne: trzeba dawać ogółowi teorye należycie uzasadnione, prawdy niewątpliwe, a nie karmić go pomysłami niedojrzałymi, które wywołują tylko rozstrój duchowy. Jest w tej zasadzie dużo słuszności, ale czy ten ogół z równą chęcią będzie spożywał katechizmy naukowe z najmocniejszą podstawą, jak świeże nowiny poznania ze słabem oparciem? Otóż — nie! Niegdyś wychodził w Warszawie tygodnik p. t. *Przyroda i przemysł*, który odzwierciedlał szybko każdy postęp wiedzy przyrodniczej—i czytano go szeroko. Teraz wychodzi *Wszechświat*, który znosi tylko mocne i wypróbowane cegły na mur przyrodoznawstwa i co kilka lat głęboko i głośno wzdycha, że nie ma czytelników. Temuż samemu losowi uległy odczyty. Dawniej wykładano w nich najświeższe hipotezy, dziś — teorye ustalone; ale też pierwszych słuchały tysiące, a drugich słuchają setki lub nawet dziesiątki. W którym wypadku korzyść jest większa? Zwolennicy „prawd niezbitych" (gdzie one istnieją!) odpowiedzą, że w ostatnim: ja sądzę, że w pierwszym. Nie mogę bowiem nigdy zrozumieć pożytku tej hygieno-pedagogii duchowej, która ciągle uważa społeczeństwo za gromadę nieletnich dzieci z niezmiernie słabymi organami trawienia umysłowego, wymagających dla swego zdrowia, ażeby im starannie odważano i odmierzano pokarm naukowy i dawano tylko jego gatunki „dostatecznie zbadane." Śród tych istot, które uważamy tylko za cząstki tłumu, znajdują się dość często jednostki bardzo krytyczne, które umieją same odsiać plewy od ziarna i nie połykają bez przeżucia wszystkiego, co przeczytają w książce lub usłyszą z katedry. Obok uczonych opatentowanych, ostemplowanych, ponumerowanych żyje w społeczeństwie mnóstwo ludzi głęboko myślących, którym tylko warunki bytu nie pozwalają zajmować się wyłącznie nauką, ale którzy umieją doskonale przerabiać jej materyał. Zresztą wobec względności naszego poznania, wobec ustawicznej zmienności jego gruntu, może daleko ważniejszem zadaniem jest wywoływać ruch w mózgach ludzkich, niż nabijać je gwoździami, które szybko wypadają, pomimo że uchodzą za niewzruszone. A tego zadania nie spełnia dziś należycie ani nasza prasa, ani nasza literatura. Zajęły one w tej sprawie — że tak powiem — stanowisko szkolno-podręcznikowe, co jest bardzo bezpiecznem, ale również bardzo bezsilnem zwłaszcza w społeczeństwie tak nienaukowem, jak nasze. Dlatego ogół roznamiętnia się artyzmem, a nudzi się i straszliwie ziewa przy źródłach wiedzy.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Gliński: *Wróci*, powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 353. — *Losy*, powieść współczesna. Warszawa, nakład Jana Fiszera, 1899, str. 360.

„Niektórzy poeci, chcący pisać prozą, podobni są do owych Arabów, którzy, siedząc na koniu, wydają się rosłymi, pięknymi, wytwornymi i zwinnymi, lecz gdy zobaczysz ich idących, wyglądają tak niedołężnie, iż zaledwie poznasz w nich mężczyzn."

Jeżeli powyższy aforyzm Alfonsa Daudeta nie da się z całą ścisłością zastosować do twórczości powieściopisarskiej Kazimierza Glińskiego, to jednak nie ulega wątpliwości, że Gliński-powieściopisarz jest o całą wysokość talentu niższy od Glińskiego-poety. Poezya jest żywiołem, w którym bogata wyobraźnia twórcy „Almanzora," nieskrępowana nadmiernie wymaganiami rzeczywistości, rozwija szeroko skrzydła, szybując śmiałym lotem w sfery ideału. Jako poeta, przechował on w swej duszy całą młodzieńczą wybuchowość romantyków. Nie szuka i nie toruje dróg nowych, nie bawi się w nęcącą dziś wielu ekwilibrystykę formy, lecz w świetnych oktawach lub sekstynach umie wypowiadać z siłą i szczerością uczucia, płynące z głębi duszy. Należy on przytem do tych niewielu wyjątkowych dziś u nas talentów poetyckich, którym wystarcza tchu twórczego na dłuższą metę. Natchnienie jego nie wyczerpuje się przy czwartej strofie nastrojowego fragmentu lub ostatnim wierszu impresyonistycznego sonetu; poeta wkracza w dziedzinę epiki i na tle bajecznego okresu dziejów naszych powołuje do życia wizye fantastyczne, wlewając w ich żyły gorącą krew swego serca.

Gliński, jako powieściopisarz, nie stoi na poziomie wymagań współczesnych. Nie umie on, czy nie chce, liczyć się w swych utworach z rzeczywistością i nie uwzględnia nowszych postępów techniki beletrystycznej. Przed jego oczyma przesunął się w powieściopisarstwie kierunek realistyczny, stawiający autorom takie wymagania, jak ścisłość, drobiazgowość obserwacyi i poważne studya przygotowawcze. Za jego dni zapanowała w beletrystyce powieść psychologiczna, umiejąca dotrzeć do najgłębszych tajników dusz ludzkich, poddać szczegółowemu rozbiorowi każde uczucie, każdy odruch psychiczny. Oba te kierunki nie wywarły jednak poważniejszego wpływu na autora naszego, posiłkującego się dziś przy pisaniu powieści tymi samymi środkami artystycznymi, które były w użyciu przed laty mniej więcej trzydziestu.

Stąd może w utworach powieściowych Glińskiego kapryśna częstokroć wola pisarza pozostała dotąd najwyższem prawem, regulującem i motywującem postępki jego bohaterów i bohaterek: stąd taka obfitość w ich gronie charakterów czarnych lub anielsko-białych, karykatur lub ideałów, a tak mało ludzi z ciała, krwi i kości: stąd wreszcie to niełiczenie się autora z warunkami czasu i miejsca, sprawiające, że akcya jego powieści wydaje się często jakby zawieszoną w powietrzu, że stosunki dzisiejsze mieszają się w nich i plączą z dawnymi, wytwarzając nieład chaotyczny.

Jedno tylko, co Gliński przejął ze współczesnej techniki beletrystycznej, to fatalną metodę pisania powieści z dnia na dzień, z numeru na numer. *Prawda* występowała już niejednokrotnie przeciwko temu systemowi tworzenia, wyrządzającemu nieobliczone szkody literaturze, a stosowanemu dziś, niestety, przez wszystkich prawie powieściopisarzy naszych. Pod jego wpływem autor przestaje być artystą, posłusznym jedynie poczuciu prawdy, głosowi swobodnego natchnienia i intuicyi twórczej, wspartej obserwacyą i poważnemi studyami przygotowawczemi, a staje się niewolnikiem chłopca z drukarni, lub wzbudzającą pożałowanie maszyną do zapełniania kolumn pisma fabrykatami, niegodnymi częstokroć jego imienia i sławy. Najlepszy pomysł przy takim sposobie wykonania ulega wykoszlawieniu i zepsuciu, charaktery bohaterów zmieniają się w każdym rozdziale, akcya wlecze się leniwie, to znów szalonym pędem w karkołomnych skokach naprzód podąża, dopóki koniec kwartału czy roku, znudzenie lub zmęczenie autora, czasem wprost wola wydawcy, nie położą jej kresu nareszcie.

Po tem, co powiedzieliśmy, zbytecznym byłby bliższy rozbiór najnowszych utworów powieściowych Glińskiego, gdyby nie to, że powieści te, obok wad rażących, mają i zalety poważne, wyróżniające je, bądź co bądź, w sposób dodatni z szarej masy współczesnych utworów beletrystycznych. Nie chcę tu mówić nawet o „zacnej" myśli przewodniej, która je przenika, o szlachetnym idealizmie i czystej atmosferze moralnej, która w nich panuje. Zbyt często dobrą tendencyą usprawiedliwiano już brak zalet artystycznych i na cześć miernot dęto w puzony reklamy.

Nie o to bynajmniej tu chodzi. W każdym razie jednak zaznaczyć należy, że Gliński — to nie reporter tuzinkowy, przybrany w maskę powieściopisarza, która zresztą, jak owa lwia skóra z bajki, rzadko uszy zakryć potrafi. W najsłabszych nawet utworach swoich autor „Tarantuli" i „Klęski" nie przestaje być literatem i poetą. W najsłabszych umie chwilami wznieść się na wyżyny natchnienia, wykazać w pojedynczych scenach intuicyjną znajomość duszy ludzkiej lub dać prawdziwie piękne, głęboko odczute obrazy natury.

Prawda, że w takiem np. „Wróci" trudno wogóle zdać sobie sprawę, czy akcya rozgrywa się dziś, czy przed laty trzydziestu. Autor w sposób karykaturalny narysował postać młodego pozytywisty Aleksandra Sośnickiego, jakby umyślnie pozbawiając ją wszelkich cech prawdopodobieństwa, a natomiast wyidealizował nadmiernie, z tym samym ostatecznie rezultatem, sylwetkę młodego również rzemieślnika Andrzeja, szalejącego, naturalnie, jak wszyscy prawie poznani przez nas w tej powieści mężczyzni, za główną bohaterką utworu, piękną, szlachetną, ale za mało wogóle wyrazistą i nie zawsze zrozumiałą dla czytelnika Jadwigą. Prawda i to, że niektóre postacie, mające wywołać efekt komiczny, jak zwłaszcza sylwetka aptekarza Fokiewicza, skreślone zostały w sposób wprost operetkowy.

Z drugiej strony jednak przyznać trzeba, że psychologia tęsknoty Jadwigi i jej oczekiwania na powrót ukochanego, oddzielonego od niej przestrzenią mil tysiąca, zawiera dużo rysów prawdziwych i wzruszających, że w wielu pojedynczych scenach autor umie być żywym i zajmującym, a w obrazach natury, czy to kreślonych z rzeczywistości, czy z fantazyi, prawdziwie poetycznym. W ostatnich zwłaszcza rozdziałach powieści odtwarza on z uczuciem nastroje zmroków letnich, kiedy to drzewa zaczynają szeptać swój pacierz wieczorny, zapachy rozwiniętych bzów i jaśminów unoszą się w powietrzu kryształowem, a czerwony promień zachodzącego słońca przedziera się przez splątane konary starych wiązów — albo cudnych nocy majowych, pełnych blasku księżyca, szumu drzew i śpiewu słowików. Niemniej wzruszające są owe wizye krajobrazów dalekiej Północy, stających w całej swej majestatycznej grozie w wyobraźni stęsknionej dziewczyny:

„Równina śnieżna, pusta, o jasności kryształowej, straszna bezbrzeżnością i ciszą śmiertelną, rozciągnęła się przed jej oczyma. Cienie nie cienie, mary nie mary snuły się jedne za drugiemi, pełne smutku i przygnębienia, z oczyma zwróconemi na zachód. W sercu marzącej dziewczyny strach rośnie, pot zimny operlił jej czoło... Duszą jest tam, gdzie śnieg pokrywa równiny, gdzie z gwiazdą melancholijną u czoła błądzi Anhellego kochanka."

Nie dziwimy się, że Jadwiga widzi pewne krajobrazy oczyma Słowackiego, niepotrzebnie jednak powtarza się tak często w tej powieści znany frazes twórcy „Beniowskiego" o zapachu „kochanki warkoczów..." W korekcie chociaż zmienić również należało porządek wyrazów w zdaniu: „*Jak odarty kociak ze skóry* wrzasnęła uradowana Fortunatka," rażącem wobec ładnego wogóle języka utworu.

Te same mniej więcej zalety i wady, które w zarysach najogólniejszych próbowaliśmy wskazać w powyższym utworze, odnaleźćby można i w świeżo wydanej powieści Glińskiego p. t. „Losy." Szlachetny idealizm nie pozwala autorowi widzieć życia w barwach naturalnych. Znowu więc, jak w „Zbójcach" Schillerowskich, mamy tu do czynienia z wcielonymi aniołami lub szatanami i znowu odczuwamy brak ludzi.

Główny bohater powieści, młody student medycyny, Leon Lotocki, umierający na suchoty u progu świetnej przyszłości, wygłasza wiele ładnych, wzruszających i pięknie zaokrąglonych frazesów w swoich rozmowach z samym sobą, z matką i z przyjaciołmi, a chwilami nawet może wycisnąć łzę współczucia z oczu wrażliwszych czytelniczek. Ckliwy Żmujło drażni swem niedołęztwem w stosunku do ocalonej od śmierci i ukochanej serdecznie Dorotki Kirżgajłówny. Trzeci kolega, Tomasz Waltornia, może dla tem lepszego uwydatnienia niepokalanej białości tamtych, uczermony został nadmiernie, wywierając wrażenie postaci melodramatycznej, co zresztą nie o nim tylko powiedzieć by tu można. Wszyscy oni jednak unoszą się w powieści na falach zbyt dalekich od rzeczywistych prądów i głębin życia, aby można było liczyć się z nimi poważnie, brać ich za wytwory stosunków istniejących, nie zaś jedynie bujnej fantazyi autorskiej.

Lecz szczytem idealizmu i nieliczenia się autora z rzeczywistością wydaje nam się w „Losach" postać ogromnie szlachetnego romantyka i marzyciela, hr. Dąbskiego, a szczytem nieprawdopodobieństwa jego miłość i małżeństwo z matką Leona, kobietą niemłodą i nieoszczędzaną bynajmniej przez losy, a przygnębioną świeżo śmiercią dwudziestokilkoletniego jedynaka. W realność tego stosunku uwierzyć wprost trudno, choćbyśmy nawet przypuścili, że bohaterce swojej autor zapewnić zdołał czar wiecznej młodości, a sercu jej dziwną zdolność zabliźniania ran świeżych a głębokich i odradzania się w jesieni życia za pierwszym podmuchem wiosennym do nowych zachwytów i uniesień.

Niemniej jednak dzieje tego stosunku pozwoliły autorowi skreślić kilka scen pięknych, wywołać ulubione efekty z księżycowym blaskiem, okazać nawet pewną subtelność w malowaniu stanów psychicznych:

„Dwór już spał, folwarczne światła pogasły. Pani Jadwiga, korzystając ze snu tego i ciszy nocnej, wyszła do ogrodu i zatrzymała się przy stawie. Serce jej było przepełnione smutkiem nadmiernym, jakaś tęsknota owładła nią całą — zbudziło się pragnienie szczęścia, wywołane urokiem tej nocy czerwcowej.

— Szczęście!..

Zapatrzyła się w głąb stawu, w którym drgało odbicie księżyca, gwiazd i nieba. Co za cisza, co za toń kryształowa!.. Gdy-

by można bez grzechu rzucić się w te tonie przezroczyste, znalazłoby się spokój i ukojenie!..

Bryznęła fala, w tym bryzgu usłyszała szept:

— Chodź!..

Cichym szelestem odezwały się trzciny:

— Spiesz!..

A niebo, księżyc i gwiazdy zaczęły się chwiać lekko, jakby ją chciały na sen długi i słodki ukołysać."

W kreśleniu postaci drugorzędnych (państwo Barabaszostwo Meltyccy, kochliwa pani Atanazowa i inne) ustrzegł się autor szczęśliwie karykaturowania, przesady i tanich efektów komicznych i zdołał w wielu miejscach zbliżyć się do rzeczywistości życiowej. Ten szczegół, łącznie z większem sharmonizowaniem wewnętrznem utworu, każe nam postawić „Losy" wyżej od powieści poprzedniej.

Władysław Bukowiński.

LITERATURA WŁOSKA.

G. d'Annunzio: *Miasto umarłe. — Sen poranka letniego.*

W „Mieście umarłem" d'Annunzio chciał stworzyć trudycyę, której bohaterowie byliby ludźmi współczesnymi, ogarniętymi jednak tchnieniem starożytnego fatum. Mord i kazirodztwo, jak u Sofoklesa, występuje tu na scenie.

Dwaj uczeni, Aleksander i Leonard, przybyli do Myceny, aby robić poszukiwania archeologiczne: pierwszy w towarzystwie żony, Anny, ślepej, acz młodej; drugiemu towarzyszy siostra, piękna Blanka-Marya. Obie pary związane są najściślejszą przyjaźnią.

Starania naukowe Leonarda uwieńczone zostają pomyślnym skutkiem: odnajduje bowiem groby Agamemnona, Kassandry, Klytemnestry i ich nienaruszone trupy.

W pierwszej chwili wszyscy zachwyceni są tem pysznem odkryciem, ale radość trwa niedługo, bo poruszając te prochy szanowne, wydobyli z nich, w całej ich okropności i potędze, namiętności występne słynnej rodziny Atrydów. Odkopali zarodki ohydne kazirodztwa, ukryte od wieków w tych grobach: zarodki te kiełkują, rozwijają się w sercach bohaterów, których nie uratować nie potrafi. Leonard, wbrew strasznym zgryzotom, pożąda własnej swej siostry, gdy ta ostatnia pała miłością ku Aleksandrowi, którego uczucie odpowiada jej wzajemnością.

Biedna Anna, pomimo ślepoty, jedynie kierowana czułością, odgaduje intrygę miłosną męża i choć z sercem rozdartem, wybacza: nie mając jednak pojęcia o tem, co się dzieje w Leonardzie, wyjawia mu tajemnicę, która koło nich się snuje. Leonard zraniony do żywego i ścigany zazdrością, topi Blankę-Maryę w starożytnej studni, Persei. Taką jest treść dramatu, który raczej uważany być może za poemat liryczny, niż za dramat właściwy. Zamiast porwać widza i czytelnika tym dzikim wichrem rozszalałych i występnych namiętności, nie dając mu czasu do rozpoznania się w tem, co się dzieje, autor zadawala nas pięknymi opisami i subtelną, przyćmioną analizą psychologiczną, w guście Maeterlincka.

Wspaniałość tyrad, świeżość obrazów i natężenie snów odtwarzających atmosferę „miasta martwego," nie potrafią zamienić tego poematu na dramat. Nie widzimy istotnych starć, tylko rozliczne deklamacye z ich powodu. I dlatego, jako dramat, jest to rzecz słaba, ale jako utwór literacki — wspaniała. Oto np. opis odkrycia zrobionego przez Leonarda:

Największa i najdziwniejsza wizya, jaka kiedykolwiek ofiarowana została oku człowieka: widma olśniewające, bogactwo niesłychane, wspaniałość straszna, objawione naraz, jako sen nadludzki... Nie umiem wypowiedzieć, co widziałem. Szereg grobów, w których piętnaście ciał nienaruszonych leżało, jedne przy drugich na złotem łożu, o twarzach przykrytych złotemi maskami, o czołach uwieńczonych złotem, i wszędzie, wszędzie obfitość rzeczy złotych, niezliczonych, jak liście opadłe w lesie bajecznym, wspaniałość nie do opisania, najjaskrawszy skarb, który śmierć nagromadziła w mrokach ziemi od wieków. W ciągu jednej chwili dusza moja przebiegła tysiącolecia, wskrzesiła straszne legendy, drżała przed okropnością starożytnych mordów. Piętnaście trupów było przede mną, ze wszystkimi ich członkami, jakby ułożone przed chwilą, po morderstwie, zlekka spalone stosami, zbyt pospiesznie zgaszonymi: Agamemnon, Eurymedon, Kassandra i straż królewska, pochowani w swych szatach, orężach, koronach, ze wszystkimi ich wazonami, klejnotami i bogactwami... Przypominam sobie, Aleksandrze, ten ustęp z Homera: „I leżeli pośród wazonów i stołów ustawionych, a cała sala była zbroczona ich krwią. I słyszałem głos żałosny Kassandry, córy Priama, którą chytra Klytemnestra mordowała..." W ciągu chwili dusza moja żyła tem życiem okropnem i potężnem. I byli tu przede mną zamordowani królowie królów, niewolnica-księżniczka, woźnica i towarzysze — w przeciągu jednej chwili. Potem, nakształt dymu, który się unosi, nakształt piany, która się roztrąca, nakształt kurzu, który się rozprasza, wszyscy zginęli w milczeniu. Wydawało mi się, iż byli pochłonięci przez samo to milczenie, które otaczało ich królewską nieruchomość."

Albo też weźmy wspaniałą scenę wyznań miłosnych Aleksandra: „Czemu chcesz pani, bym nie mówił o rzeczach, które dojrzały w mej duszy? Ci, co nie chcą żyć w tęsknocie i kłamstwie, powinni je wypowiadać. Ileż razy pogrążaliśmy w milczeniu uczucia, które się rodziły w nas i wznosiły do warg! Nie mogę wspomnieć o nich bez żalu i zgryzoty. Wydaje mi się, iż widzę, jak się wahają pod powierzchnią niemą wody, jako rzeczy zimne i bezkształtne. A one mogłyby narodzić w nas kto wie jakie rozkosze, jakie cierpienia, jakie nowe piękno! Ah! Ten, co ukrywa uczucia, co zamyka je w sobie i dusi, ten kłamie wobec życia. Czemuż więc do dziś dnia nie spoglądaliśmy sobie w oczy? Czyż obawialiśmy się ujrzeć tam jakąś sromotę — to, o czem obaj już wiedzieliśmy?"

Blanka-Marya odpowiada, iż są rzeczy, które nigdy nie mogą się stać, iż istnieją więzy święte silniejsze od śmierci, których nie potargać nie potrafi: z jego życiem zrosło się inne, prawie boskie w swym charakterze swą głębią i czułością, życie Anny.

Aleksander nie podziela tego zdania. Czas ubezwładnia bezpłodnością niespodzianą najwyższe związki duchowe. Korzenie ich pozostają wciąż pogrążone razem w ziemi: ale ich siła pierwotna, wyczerpana nie wywołuje już ani liści, ani owoców. Tak on i Anna. Tymczasem gdy Aleksander znajduje się w pobliżu Blanki-Maryi, ogarnia go wzruszenie ukryte, podobne do tchnienia budzącej się wiosny: Jego dusza w jednej chwili rozszerza się po za wszelkie granice, obejmując i przenikając coraz to nowe strony rzeczy. „Zaiste, moglibyśmy siąść jedno koło drugiego w pustelni samotnej, zdala od dróg utartych przez ludzi, nieruchomi i milczący, jak dwie sąsiednie łąki porankiem, a każde tchnienie wiatru przynosiłoby nam nowy posiew cudowny."

Gdy na nią spogląda, gdy słyszy rytm jej tchnienia, rozumie, iż istnieje w świecie nieznane jeszcze piękno do poznania, skarby do zdobycia i czyny do spełnienia, czyny piękniejsze, niż najpiękniejsze sny poetów. W niej zawartą jest jakaś szlachetna potęga, wskrzeszająca wszystkie marzenia jego młodości. Blanka-Marya zjawiła się na jego drodze w chwili krytycznej, gdy zwierał się w sobie, niespokojny i niepewny drogi, która się przedłużała bez końca. Ona mu pozwoli dopiąć celu, ona dotrzyma wszystkich obietnic jego młodości, chociażby miał gwałtem zmusić ku temu losy.

„Jeżeli kiedykolwiek forma, którą nadałem mym myślom, wydawała się pani piękną, jeżeli przyznawałaś pewną szlachetność memu umysłowi — błagam cię, błagam, nie chciej źle rozumieć tej konieczności, która mnie pcha ku tobie. Życie me w tej chwili jest jak rzeka wezbrana od wszystkich wód wiosennych, unosząca wyrwane z korzeniem lasy: ona wylewa przez samą obfitość materyałów, które unosi. I wydaje mi się, iż tylko pani potrafisz oddalić przeszkody z jej drogi: źdźbłem trawy, łodygą kwiatu, ujętą przez drobną twoją dłoń."

Jakże jej czekał! Z jaką wiarą! Nie pyta się nawet, co czyniła za czasów, gdy pozostawali obcy i nieznani. Pogrążała pewno swą duszę w tajemnicy i pięknie, piła poezyę u źródeł najbardziej odległych. Napróżno Blanka-Marya się broni, iż on wyobraża ją sobie nie taką, jaką jest w rzeczywistości, iż w nim jest cała potęga poezyi, którą jej przypisuje.

„Cóż to znaczy? Co znaczy?—odpowiada. Cała potęga, która jest we mnie, powstałaby uwięziona i rozproszyłaby się w mnóstwie wirów wewnętrznych, gdyby twój boski wdzięk jej nie pobudzał do objawiania się w tysiącu form i ruchów radości. Trzeba, żebym nareszcie był wolny i szczęśliwy w prawdzie twej miłości, abym odnalazł nareszcie słowo, którego tysiące wyczekują. Trzeba mi ciebie, trzeba mi ciebie!"

Temu hymnowi miłosnemu dwojga kochanków wtóruje przytłumiony ryk zazdrości Leonarda i cicha boleść Anny, która zazdrosną nie jest. Istotnie, zazdrość kobieca jest zupełnie inną od męzkiej. Tortura Leonarda jest czysto fizyczna. Kobiety zazdrosne nie mają zwykle tej wyobraźni plastycznej, podsuwającej ohydne wizerunki. I dlatego Anna nie czuje bynajmniej wstrętu — jej nienadwerężona energia gotowa jest na poświęcenie, do którego ślepy szał męzki nie jest zdolny. Takie są czynniki psychiczne zbrodni. Należy jednak dodać do nich wpływ otoczenia. Osoby działające aż do cierpienia podlegają wpływowi tego nieba miedzianego, tej ziemi rozpalonej, tych zapachów, kamieni i ruin tragicznych. Wkoło panuje takie gorąco, iż trudno oddychać. Cała dolina Argonu jest jak jedno wielkie jezioro płomieni. Góry są dzikie i żółte, jak lwice. Od czasu do czasu przelatuje tylko wiatr piaszczysty, złożony z pyłu suchych traw. Łożyska wyschłych rzek bieleją naokoło.

W tej atmosferze jakiś niewyraźny obłok cierpienia schyla się nad głowami bohaterów i przygniata je. Wszyscy cierpią, gdyż przeczuwają zbrodnię i nie umieją jej powstrzymać. Aleksander doskonale wyraża to poczucie fatalizmu, przygniatającego wszystkich, mówiąc: „Tak być musi, bo tak jest." Każda z tych osób stara się ukryć swe cierpienie wobec innych i wobec samej siebie, rozumiejąc, iż popełniają w ten sposób kłamstwo występne. Pozostają bez odwagi, wahający się i poniżeni, podczas gdy prawda, którą rozumieją, znajduje się pośród nich i spogląda w ich oczy swym nieubłaganym wzrokiem.

Nie tyle sam dramat, co uczuciowość artystyczna d'Annunzia głownie nas tu interesuje, ten gorący neo-poganizm poety, który się zaćmiewa często w sposób północny i chrześciański. Aleksander czuje wstręt głęboki do wszelkiej boleści bezwładnej i niepotrzebnej, chciałby złamać przeszkody, które powstrzymują wzlot sił szla-

chetnych do najwyższego ich szczytu. Bezustannie czuwa nad tem, aby przyswoić wszystko, co może powiększyć i przyspieszyć potęgę czynną jego ducha dla tego dzieła piękna i wiedzy, które ma dokonać. Czemże jest napół umarłe widmo jego żony wobec świata nieskończonego poezyi, który nosi w swej duszy? I tylko miłość Blanki-Maryi może doprowadzić do dojrzałości wszystkie potęgi jego ducha. Dawniej d'Annunzio bez wahania radziłby swemu bohaterowi złamanie przeszkody. Teraz jest bardziej oględny. Budzi się w nim kult żalu i zgryzoty.

Swe marzenia północne poeta przyodziewa w światło słoneczne: jest to Maeterlinck, ale pełen włoskiej wspaniałości. „Sen poranka letniego" jest także historyą zbrodni, wywołanej zazdrością. Dramat ten ma też same zalety i wady, co poprzedni.

Dr. L. Winiarski.

ODCZYTY.

J. J. Boguski: „James Clarke Maxwell, jego życie i dzieła." — J. M Kamiński: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu."

P. J. J. Boguski jest wybitnym popularyzatorem wiedzy przyrodniczej. Wszelkie jego wykłady przynoszą słuchaczom istotny pożytek, gdyż są jasne, ciekawe, nienużące nawet najbardziej leniwych umysłów i wreszcie ożywione zazwyczaj pięknym, barwnym językiem. Znając te zalety prelegenta, szliśmy na jego odczyt w przekonaniu, że i tym razem wydobędzie on je i roztoczy przed słuchaczami w całej pełni, tem bardziej, że miał wyborną sposobność. Zawiedliśmy się wszakże. Prelegent poświęcił większą część wykładu życiorysowi Maxwella i to skreślonemu w ten sposób, że prędzej nadawałby się on do *Przyjaciela dzieci*, niż do prelekcyi publicznej. To też zanim mówca załatwił się z kolebką i dzieciństwem uczonego, zanim zdążył skreślić sylwetki jego rodziców i krewniaków, upłynęła godzina i już nie było czasu na ocenę i charakterystykę działalności naukowej tego człowieka. Stąd nierównomierność w treści i sposobie wykładu. Życiorys był bardzo, może zanadto popularny: rodowody krewnych tak dokładne, że nawet biografowie naszych poetów nie mogą dorównać p. Boguskiemu pod względem skrupulatności w tej mierze. Jednocześnie zaś napomknienia o działalności naukowej Maxwella tak pobieżne i niejasne, że słuchacze nie wyrobili sobie najmniejszego pojęcia o tych sferach wiedzy, w których się on obracał.

P. Jan Maurycy Kamiński mówił o fałszu i prawdzie ze stanowiska prawnego i etycznego. Sięgnął tedy do czasów najodleglejszych, do przepisów religijnych i następnie środków prawodawczych, które się zrodziły z pojęć moralnych, i na ten temat wygłosił cały traktat, przekraczający oczywiście ramy odczytu. Przedmiot historyczny, bądź co bądź bardzo ciekawy dla słuchaczów, wypełnił niemal całą treść wykładu, strona zaś etyczna, w życiu współczesnem, dała tylko sposobność prelegentowi do popisów krasomówczych, a więc i do wyzyskania wszelkich środków efektu, jakie się zwykle wyzyskuje przed galeryą sądu.

Potwarz była wieczną klęską od najdawniejszych czasów, zarówno w życiu społecznem jak i prywatnem. To też surowo ją prześladowały opinia publiczna i prawo państwowe. W Polsce pierwsze prawo o potwarzy ogłosił Bolesław, książę kaliski r. 1260. Statut wiślicki w r. 1347 prawo obyczajowe utrwalił na piśmie. W r. 1496 statut Jana Olbrachta nakazał surowo ścigać potwarców, tak dalece, że winnym tej kategoryi groziło nawet piętnowanie lub wydzieranie nozdrzy. W społeczeństwach dzisiejszych prawa w tej mierze złagodniały i zmieniły swój charakter. Potwarz wysubtelniła się, nabrała przeróżnych odcieni. Uległy zmianie także i pojęcia o honorze. Stały się bardzo rozciągliwe. Szkoda, że pan Kamiński, jako znawca tej rzeczy, nie rozwinął jej szerzej, nie wskazał granicy, gdzie się kończy honor, a zaczyna hańba. Są one również tak nieznaczne, dzięki etyce przystosowanej do potrzeb i okoliczności chwili, jak i granice między życiem prywatnem a publicznem. Stąd się wytworzyło u nas tylu zwolenników broni sądowej, zwanej dyfamacyą; broni, która jest ochroną słabych w poczuciu swego honoru. Zasady prawa rzymskiego pozwalały wierzycielowi sprzedać dłużnika jak niewolnika. Dzisiaj zaś można sprzedać honor po cenie zniżonej, za gotówkę. Jeszcze lepiej: można fałszem zmywać brud z dusz ludzkich. To są tematy ogólne i bardzo subtelne. P. Kamiński ich nie dotknął. Szkoda, że jako prawnik, fachowiec, pominął jedną kategoryę fałszu, która częstokroć powstaje na gruncie palestranckim. Mianowicie ta kategorya, która, podsuwana przez obrońców, pozwala przestępcom rzeczywistym, prawdziwie szkodliwym dla społeczeństwa, unikać odpowiedzialności karnej i daje im możność korzystania nadal z praw obywatelskich tego społeczeństwa. Natomiast prelegent z wielkim ogniem mówił o takiem wyjątkowem położeniu, które nie pozwala spotwarzonym bronić się wobec potwarców; „schodzić z wyżyn do kałuży." Z równym zapałem powstawał p. Kamiński przeciwko paszkwilom, owiniętym w jedwabie szlachetnych celów; podkreślił wreszcie pewien instynkt ciemnych mas, wyzyskiwany przez oszczerców pod poważnemi hasłami.

Nie zrozumieliśmy tylko, co robi w odczycie p. Kamińskiego „pyszałkowaty socyalista z czasów pierwszego chrześciaństwa."

P.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

„Wskrzeszenie Łazarza," Oratoryum Wawrzyńca Perosi'ego.

Organizatorowie „Wielkiego koncertu," urządzonego na scenie teatru Wielkiego w celu przysporzenia funduszów Towarzystwu nieuleczalnych kalek Św. Stanisława Kostki, wciągnęli do programu głośno reklamowane oratoryum „Wskrzeszenie Łazarza" ks. Perosiego. Subtelny i artystyczny smak (?) nakazał im i wykonawcom urozmaicić ten program w następujący sposób:

Część pierwsza zawierała dwie uwertury, wyjątki z oper, serenadę i nadprogramowego „Mazura," *urżniętego* na skrzypcach z takim zapałem, iż słuchacz, uniesiony dziarską muzyką, przeniósł się myślą do ubiegłego karnawału i słyszał dolatujące uderzenia hołubców naprzemian z ognistymi wykrzyknikami: „Podkóweczki dajcie ognia..."

Po takiem to poważnem przygotowaniu w drugiej części koncertu nastąpiło wykonanie „Wskrzeszenia Łazarza!"

W tym osławionym dziele Perosiego zaledwie chór użyty *a capella* (bez instrumentalnego towarzyszenia) brzmi pięknie; po za tem nie można nie prawie wynaleźć na pochwałę autora. Najpierw użycie tekstu w sposób dawny jest przestarzałe i razi swą nielogicznością. Znajdujemy tu bowiem opowiadanie ewangelii podzielone do wyśpiewania na przemian przez kilka głosów solowych. Naprzykład gdy jedna osoba, recytując, wypowiada jakąś cząstkę zdania, to druga czasem nawet od środka tegoż zdania zaczyna opowiadać w dalszym ciągu. Nie dosyć jednak na tem. Perosi bardzo często zaledwie rozpoczęte zdanie przecina, a dalszy ciąg wyrazów daje w śpiewie dopiero po dość długiej przerwie, bo wynoszącej przynajmniej pół minuty. Gdzież tu jakikolwiek sens w użyciu słowa, które ma wyrażać chociażby względną akcyę dramatu religijnego?

Sposób śpiewów, tj. forma muzyczna, w jaką przyobleczone jest opowiadanie ewangelii, stanowią niemal od początku aż do końca monotonne *recitativ y*, które niekiedy przechodzą w śpiewniejsze momenta, zwane „arioso"; orkiestra zaś towarzyszy temu bezładnym zlepkiem różnych harmonij, niewyrażającym żadnego nastroju danej osoby. Jedynie dwa preludya orkiestrowe do pierwszej i drugiej części zarysowują się w kształtach więcej wyraźnych, ale nie stanowią rozwiniętej głębiej myśli muzycznej.

Wobec braku form bogatszych, a zatem i większych frazesów melodyjnych, głosy solowe niczem nie mogły zainteresować, a orkiestra ze swą nieudolną instrumentacyą, z bezładnemi często harmoniami w nowoczesnym stylu kompozytorów włoskich, na wzór Mascagniego lub Pucciniego, zaledwie posiada, prócz preludyów i chórów wyżej wymienionych, małe przebłyski rozpoczętych tematów, które chociaż rozwijają się kontrapunktycznie, jednakże w ciągu takiego wiązania tonów stopniowo rozprzęgają się i giną, nie dając należycie określić jakiegoś punktu kulminacyjnego.

Do takich tematów należy „Choroba Łazarza" o chromatycznej budowie, pełna nieznośnych dysonansów, i zarysowanie fugi w dawnej tonacyi doryckiej (transponowanej) z przymieszką spółczesnego chromatyzmu. W fudze tej, jak i w innych miejscach, są tak zabawne, a zarazem dziwne wyskoki głosów solowych, którchy mogły swym głębokim nastrojem (!) rywalizować... z „mazurem..."

Jedynie chóry użyte w formie najprostszej, bo w czterogłosowej harmonii, pod względem muzycznym brzmią pięknie; powtarzane jednakże kilka razy w takim samym składzie (czterogłosowo), przestają interesować i nużą. A chociaż w zakończeniu chór śpiewa „Benedicamus Domino" jednogłośnie (unisono), jednakże, pozbawiony należytego stopniowania, przechodzi bez wrażenia.

Młody ks. Perosi nie wykazał zatem ani wiedzy kontrapunktycznej, ani form wokalno-instrumentalnych, ani też pomysłowości melodyjnej, którą, jako Włoch z urodzenia, powinien posiadać obficie. A jeżeli jego fragmenty chóralne brzmią pięknie, to zawdzięczać należy szkole ratysbońskiej, w której ks. Perosi obznajmiał się ze stylem muzyki kościelnej.

O wykonaniu małych partyj solowych, nieodznaczających się muzycznie, niewiele można powiedzieć: księżna Natalia Lubomirska (jako Marya) i panna Frenklówna (Marta) odśpiewały swe *recitatiny* z pewną powagą; pp. Russitano (historyk) jak na opowiadacza przecznlał motywy; p. Grąbczewski (głos Chrystusa), mając partyę wysoko napisaną, nie mógł nadać jej właściwej powagi. Wreszcie drobną partyę sługi wykonał p. Kowalski. Chóry śpiewały wybornie.

Ig. Pilecki.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA OBRAZKOWE. Oprócz „Kraju w obrazach" i pięknego „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek w XIX w." (wyszło pięć zeszytów) mamy dwa nowe w tym rodzaju wydawnictwa: A. Grotgera: „Szkoła szlachcica polskiego" (nakł. Hamnickiego) oraz „Album sztuki polskiej," kopie z wystawy retrospektywnej w opraco-

waniu H. Piątkowskiego (nakład Laskauera i Babi-[illegible]

POEZYE. J. W. Goethe: „Reineke—lis," tłom. L. Jenike. Dodatek do *Gazety Polskiej*.

— Agi-Wdaj: „Strofy" (208 str.).

POWIEŚCI. H. Sienkiewicz: „Pisma," t. III. Dodatek do [illegible]

ROLNICTWO. J. A. Mejer: „Kartofle, ich uprawa i zastosowanie w gospodarstwie i przemyśle," t. II. dodatek do *Roln. i hodowcy*.

OGRODNICTWO. S. Rutkowski: „Rozkład zajęć ogrodniczych." skład u Wodzyńskiego, kop. 80.

BADANIA LITERACKIE. W. Spasowicz. „Pisma," t. VII.

HUMORYSTYKA. Nakładem *Kuryera świątecznego* wyszedł zbiór fraszek p. t. „Confetti."

PRASA. W Łodzi wyszedł pierwszy numer tygodnika ilustrowanego *Ognisko rodzinne*. Jest on przeznaczony dla klas niższych a zabarwiony mocno klerykalizmem.

— W Paryżu zaczął wychodzić miesięcznik p. t. „Revue de morale sociale."

KOMEDYE. J. I. Kraszewski: „Miód kasztelański," wyd. 2. z przedmową Chmielowskiego. Kijów, Zdzitowski

POEZYE

Niepoprawny.

Ach, ja snułem poematy
W onej błogiej życia wiośnie,
Gdy myśl młoda—ptak skrzydlaty—
W świat się zrywa tak radośnie!
Ach, ja snułem poematy,
Chcąc wywołać zdrój ze skały,
A w pustyni żywe kwiaty,
A z dusz ludzkich — ideały!
Ach, ja snułem poematy
Sam ze sobą już w rozterce,
Gdy—złudzenia szarpiąc w szmaty—
Bojowało moje serce
I wzbijało się pod słońce,
W świat tajemnic, badań świnty,
Tak namiętne, gorejące...
Ach, ja snułem poematy!
Ach, ja snułem poematy
W tej godzinie bez nazwiska,
Gdy—jak z głębin lilii kwiaty
Z serc miłości zdrój wytryska.
Ach, ja snułem moje pieśni,
Ach, ja snułem je bez przerwy,
Gdy targała najboleśniej
Droga ręka moje nerwy.
Ach, ja snułem poematy,
Wierząc w duszy drogiej piękno,
Skroń tę wieńcząc w zórz szkarłaty,
Pierś w hart, w moce, co nie mięknął;
I tonąłem w ocz tych dwoje,
Choć mi były niby katy —
Męko moja! Niebo moje!
Ach, ja snułem poematy!
Snem poezyi opętany,
Na skroń wziąwszy jej chryzmaty,
Śmiech, łzy, hymny czy peany —
Ja wsnuwałem w poematy!
Z Homerowych sług pacholę,
Z Donkiszotem—jak brat z bratem,
Choć ból w piersiach, gaz na czole—
Życie snułem poematem..
Ach, ja snułem poematy,
Aż wyssała serce żmija...
Mówią ludzie, że gdy z laty
Kielich życia się dopija,
Dusza wraca do kolyski,
By snów dziecka podjąć temat.
Wtem—coś mignęło—kosy błyski—
I—zakończył się poemat...

Adam M—ski.

[illegible] DALI.

Lublin. Pragnąc dowiedzieć się, jaki wpływ wywarł monopol na ludność, gubernator lubelski polecił naczelnikom powiatów i policmajstrowi m. Lublina nadesłać opinię swoją w tej sprawie do d. 13 kwietnia. Wszelkie dane o wpływie monopolu na ludność posłużą za materyał do memoryału o wynikach handlu skarbowego. Zażądano odpowiedzi na pytania następujące: 1) czy zauważono zwiększenie się, czy zmniejszenie pijaństwa; 2) czy ludność miejscowa odznaczała się pijaństwem przed wprowadzeniem reformy, jak i w jakiej mierze ujawniło się pijaństwo; 3) jeżeli osłabło, na jakich danych opiera się spostrzeżenie; 4) to samo, jeżeli się zwiększyło; 5) jak ludność zachowała się wobec reformy, w jaki sposób ujawniło się to zachowanie i zapatrywanie na reformę; 6) jak zapatruje się na nią inteligentniejsza część ludności, jakie są o tem wiadomości; 7) czy w nowej reformie nie zauważono jakich braków i jakie mianowicie; 8) czy moralność ludu podniosła się z powodu wprowadzenia monopolu? Naczelnik gubernii prosi o odpowiedzi bez względu na to, czy będą one dla reformy pomyślne, czy nie. — *Lub. Gub. Wied.* piszą: „Wyzyskiwanie ciemnych mas włościańskich znalazło tutaj nowe pole w postaci zachęcania do składania próśb o przesiedlenie ich na grunty rządowe w Syberyi. Próśb takich nadeszło od włościan w gub. Lubelskiej bardzo dużo. Wiedząc z wiarogodnego źródła, że prawo o przesiedleniach na syberyjskie grunty skarbowe nie jest jeszcze zastosowane do Królestwa Polskiego, uprzedzamy o tem osoby, czyniące starania w tym zakresie."

Płock. Z pod Glinojecka piszą do *Ech pł.*: „Plantatorowie cukrowni „Izabelin" byli zmuszeni utworzyć zmowę, celem wywalczenia na buraki ceny wyższej, którą przez kilka lat ostatnich cukrownia systematycznie zniżała, usprawiedliwiając takie postępowanie ogólną zniżką cen wszystkich produktów rolnych, co wobec wysokich cen cukru nikogo przekonać nie mogło, zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, kiedy to cena zboża podniosła się o 4 ruble na parze. Usiłowania nasze administracya fabryki nazywa pogardliwie „strajkiem," ale mogą one odbić się niekorzystnie na interesach cukrowni, która w ostatnich latach straciła wiele dawnej życzliwości plantatorów. Z powodu ograniczenia zakresu władzy dyrekcyi cukrowni, rokowania są bardzo utrudnione. Być może, iż zmowa nasza nie zdoła wywalczyć ceny umiarkowanej, której żądamy, ale probujemy przynajmniej oprzeć się wspólnemi siłami i zachęcić rolników, aby w obronie swoich interesów występowali solidarnie."

KRONIKA.

— Generał-gubernator warszawski zatwierdził sposób zawiązywania w Królestwie towarzystw pomocy dla młodzieży. Ustawy osobnych towarzystw zakładów naukowych prowincyonalnych będą zatwierdzali właściwi gubernatorowie, ustawy zaś towarzystw takich, zawiązujących się w Warszawie, Główny Naczelnik kraju. W każdym wypadku jednak zarówno gubernatorowie, jak kancelarya Generał-gubernatora porozumie się z kuratorem okręgu naukowego. Ustawy towarzystw wzajemnej pomocy młodzieży wzorowane będą na ustawie normalnej, zatwierdzonej w r. 1897, z pewnemi zmianami, wprowadzonemi do niej dla Królestwa Pol-[illegible]

Szkoły. Kurator warszawskiego okręgu naukowego zawiadamia, że egzaminy kandydatów postronnych, pragnących otrzymać świadectwo z ukończenia kursu szkół realnych, odbędą się w r. b. tylko w Łowiczu, Kaliszu i Sosnowicach. W szkole warszawskiej dopuszczenie obcych kandydatów jest niemożliwe z powodu znacznej liczby jej własnych uczniów, tudzież wychowańców szkół pp. Trejdosiewicza i Górskiego.

— Profesor zwyczajny uniwersytetu warszawskiego, Julian Kosiński, opuścił katedrę.

— P. minister rolnictwa i dóbr państwa wydał następujące rozporządzenie: „Z powodu ponowionych między studentami Instytutu górniczego zamieszek. stojących na przeszkodzie prawidłowemu biegowi zajęć naukowych, wszyscy słuchacze są usunięci." Odpowiednio do wskazówek ministeryum, rada Instytutu zawiadomiła następnie studentów, że ci z usuniętych, którzy zapragną wrócić do zakładu naukowego, pod warunkiem zupełnego stosowania się do przepisów obowiązujących, powinni najpóźniej do 7 kwietnia złożyć deklaracyę i podanie. Przyjęcie zależeć będzie od uznania zwierzchności Instytutu.

— Gazety podały następujące obwieszczenie rektora uniwersytetu moskiewskiego: „Ponieważ część studentów wszystkich wydziałów ujawniła oporczywą niechęć stosowania się do przepisów uniwersyteckich i odbywania dalej zajęć naukowych. tudzież przeszkadza w pracy pozostałych studentów, przeto, za zezwoleniem p. ministra oświaty, niniejszem obwieszcza się, że wszyscy studenci są uważani jako tacy, którzy usunęli się z uniwersytetu." W dalszym ciągu obwieszczenie mówi o takich samych warunkach przyjęcia, jak w instytucie górniczym.

— Ministeryum skarbu postanowiło założyć szkołę średnią chemiczno-techniczną w Wilnie. Będzie to wynik starań ludności miejscowej, trwających od 20 lat. Zawiązkiem funduszu na tę szkołę ma być kapitał, wynoszący obecnie 40,000 rb., złożony przed laty przez szlachtę miejscową z okazyi 25-lecia panowania Cesarza Aleksandra II. Zarząd miasta Wilna udziela 100,000 rb.. resztę zaś do przewidzianej w kosztorysie sumy 175,000 dołoży skarb państwa. Etat utrzymania rocznego zakładu obliczono na 24,897 rb. Szkoła otwarta będzie w r. 1900, do czasu zaś ukończenia i urządzenia gmachów własnych mieścić się ma w lokalach wynajętych.

Przypomnienie. Ministeryum skarbu ponownie przypomina w *Prawit. Wiest.*, iż w d. 31 grudnia 1899 r. (12 stycznia 1900 r.) upływa termin ostateczny wymiany banknotów 25, 10 i 5-rublowych stempla 1887 r.

Konkurs. Dyrekcya teatru Skarbka we Lwowie, zawiadamia. iż z nadesłanych na tegoroczny konkurs utworów dramatycznych ani jeden nie nadaje się nawat do wspólnego czytania, a tem bardziej na scenę. Rękopisy tych „sztuk" autorowie odbierać już mogą w kancelaryi teatralnej.

Zapis. *Torg. prom. gaz.* donosi: „Zapisem testamentowym A. Narwojt przekazał ministeryum oświaty dwie sumy: 10,000 rb. na fundusz stypendyalny imienia zapisodawcy dla studentów uniwersytetu warszawskiego i 9,000 rb. na takiż fundusz dla uczniów gimnazyum I-go w Warszawie, z zastrzeżeniem. ażeby z odsetków od obu sum utworzone były dwa stypendya, po jednem dla powyższych zakładów i dla najbliższych krewnych zapisodawcy, w braku zaś krewnych najbliższych — dla ubogich uczniów wyznania katolickiego, pochodzących z gub. Kowieńskiej i Wileńskiej.

Koleje i komunikacya. Zarząd kolei skarbowych wybuduje trzy odnogi kolei Jekaterynieńskiej, Charkowsko-Mikołajewskiej i Kursko-Charkowsko-Sewastopolskiej. nadto linię Kijów-Witebsk-Kowel-Żłobin i odnogę Ryga-Poniewież.

— Spółka kapitalistów stara się o pozwolenie na budowę kolei podjazdowej (14 wiorst) od stacyi Czerwony Bór linii Nadnarwiańskiej do Łomży.

— D. 13 b. m. zarząd kolei Petersburskiej otwiera stały ruch towarowy i osobowy na nowej linii Zaniemeńskiej.

Wystawy i zjazdy. Poczyniono starania o urządzenie wystawy przemysłowo-rolniczej w Lublinie w r. 1900. Po za konkursem dopuszczone będą okazy także z innych guberuij. a nawet z zagranicy.

Przemysł i handel Syndykat rolniczy kijowski urządzi w trzech guberniach południowo-zachodnich drobne składy maszyn i narzędzi rolniczych, głównie na potrzeby gospodarstw włościańskich. Na cele takich składów. które mają pokryć kraj gęstą siecią, syndykat wyjednywa w ministeryum skarbu kredyt w sumie 20,000 rb.

— Departament handlu i przemysłu, według pism petersburskich, ponownie wyjaśnił, że wypłacanie robotnikom należności nie w gotowiźnie, lecz w towarze, jest wzbronione, nawet gdyby robotnicy zgodzili się na taką wypłatę.

Zmarli. Leonard Marconi, we Lwowie, artysta-rzeźbiarz i profesor politechniki miejscowej.

— Komitet kasy literackiej podaje do wiadomości, że osoby, pragnące być uczestnikami kasy, mogą składać deklaracyę odpowiednio do art. 5 ustawy na ręce każdego z członków komitetu. Jednocześnie komitet uważa za swój obowiązek przypomnieć, że według art. 4 ustawy uczestnikami kasy mogą być osoby pełnoletnie płci obojej, które pracują albo pracowały na polu literatury lub w dziennikarstwie polskiem.

Pragnący być uczestnikami kasy obowiązani są w myśl art. 5 ustawy: a) złożyć podanie z objaśnieniem swej działalności literackiej lub dziennikarskiej; b) zobowiązać się piśmiennie do wniesienia jednorazowo rubli 5 tytułem wpisowego; c) do płacenia na rzecz funduszu obrotowego kasy przynajmniej po k. 50 miesięcznie i na rzecz własnego funduszu przezorności przynajmniej po rb. 1 kop. 50 miesięcznie. O przyjęciu w poczet uczestników kasy decyduje komitet prostą większością głosów (art. 6).

Deklaracye przyjmują następujący członkowie komitetu: prof. Henryk Struve (Leszno 33), Antoni Pietkiewicz (Pług) (Nowy Świat 41), Antoni Donimirski (redakcya *Słowa*), Stanisław Libicki (redakcya *Kuryera Codziennego*), Franciszek Nowodworski (redakcya *Kuryera Warszawskiego*), Henryk Konic (Erywańska 5), Ignacy Matuszewski (redakcya *Tygodnika Illustrowanego*), Adam Zakrzewski (Wiejska 14).

Tom 4

PISM

Aleksandra Świętochowskiego

*zawierający: **Piękną i Aspazyę**, wyszedł.*

Cena w Warszawie 1 rb 50 kop., z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 70 kop.

OGŁOSZENIA.

Pisma

Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy. Na pogrzebie i Woły. **Rs. 1 kop. 50.**

Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego. Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rs. 1 kop 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbo. **Rs. 1 kop. 20.**

Do nabycia w Administracyi **Prawdy**.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO,

ułożony pod redakcyą I. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego.

najobszerniejszy i najtańszy z dotąd wydanych.

Przedpłata: Za całość (4 tomy w 24 zeszytach 160 stronnicowych) 10 rubli. Za tom (6 zeszytów) 2 rb. 50 kop. Zeszyt pojedynczy 50 kop. Na przesyłkę dołączyć należy na każdy zeszyt 25 kop. w kraju, 30 kop. za granicą.

Administracya, skład główny i prenumerata Słownika w redakcyi „Gazety Handlowej," Warszawa, ul. Szpitalna, 10.

Wyszedł zeszyt I (A do Blacha), str. 160.
„ „ II (od Blacha do Ciążyć) str. 160.
„ „ III (od Ciążyć do Docisnąć) str. 160

Wydawnictwa „Prawdy"

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika.** tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.
Huxley—Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rs. 2.
Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona rs. 1 k. 50. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.
N. Hirszband. **Byron** w urywkach, kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski wraz z apteką domową** (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.
Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka** — rs. 2. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.
J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
H. Posnett **Literatura porównawcza** rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Roczniki Prawdy

od r 1884 do 1898, do sprzedania po dwa ruble tom.

PABUDZIŃSKI, Śliska nr 6.

LEKCYE ŚPIEWU

solowego.

Piękna 58, m. 2.

Redakcya „**Jednodniówki**" na rzecz Warszawskiej Kasy przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy p. t.:

Grosz do grosza

donosi, iż ogłoszenia do tej „Jednodniówki" przyjmuje wyłącznie **Warszawskie Biuro Ogłoszeń Urgra**, Wierzbowa 8,

Cena ogłoszeń następująca:
cała stronica (30×22 ctm.) 50 rb.
pół stronicy — 30 rb.



Tysiące listów dziękczynnych od najinteligentniejszych pań, wynalazek nasz używających, pozwalają nam z całą sumiennością polecić **wszystkim** paniom nagrodzony na Wystawie pracy kobiet **patentowany Szyndlera Biusthalter** (Antygorset). Wynalazek ten, zastępujący gorset i uznany we wszystkich państwach, daje zupełną swobodę ruchów, wskutek czego takowy nosić mogą w ciągu całego dnia **wszystkie bez wyjątku** panie, jako to: **pracujące w biurach, szkołach, handlach, gospodynie przy domowych zajęciach podróżujące, uprawiające sport, uczennice, panie znajdujące się w poważnym stanie, karmiące, a nawet cierpiące**, o czem świadczą odezwy pp. doktorów, do każdego egzemplarza dołączone.

Biusthalter, opatentowany w 13-tu państwach, odznacza się eleganckiem wykończeniem z najlepszych i najmodniejszych materyałów. używanych na gorsety.

CENY:

AA	**A**	**B**	**C**	**DD** czar. jedw.
rb. 8,50	rb. 4.50	rb. 5,75	rb. 6,75	rb. 9.50.



Detaliczne obstalunki wysyłamy za zaliczeniem pocztowem wszędzie (nawet bez zadatku). doliczając za przesyłkę 60 kop. Do obstalunku należy dołączyć miarkę w centymetrach, werszkach, calach, lub na tasiemce według rysunku. 1) **Pełny** obwód piersi, mierząc pod pachą (wraz z plecami) od A do B: 2) **Pełny** obwód stanu naokoło od C do D i 3) **Wysokość** boku od A do C.

Wyłączna sprzedaż na całe Cesarstwo i Król. Polskie **w Warszawie, ul. Marszałkowska** Nr. 118, I-sze piętro.

Adres dla listów: ***„Warszawa, Szyndlera Biusthalter."*** *118 p.*

Świeżo wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Administracyi *Prawdy* broszura

Stanisława Juszyńskiego

Karp u nas

wyniki spostrzeżeń i doświadczeń hodowli karpi w gospodarstwie rybnem „Kazimiera" w Długiej Kościelnej.

Cena 30 kop.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Марта 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.